PL ISSN 0239-2720
Nr indeksu 345661

magazyn 997 kryminalny

NR 6 (1877) ● 18 III 1990 ● CENA 1200 ZŁ

- DOMEK Z KART
- KASKADER
- KRYMINALNE TANGO
- CZAR CZTERECH KÓŁEK
- RĘCE WE KRWI
- SYFONEM W KSIĘDZA
- ŚCIANA PŁACZU

6
1990

zdjęcie Krzysztof Mokrzyszewski

—Nigdy nie byłem wrogo nastawiony do waszej służby, wiedziałem, że jest ona bardzo trudna. Miałem natomiast pretensję, że nie walczycie o swoją pozycję —powiedział związkowcom-milicjantom przewodniczący NSZZ „Solidarność" na spotkaniu w Gdańsku.

Dziś proponujemy „Bilet w jedną stronę" — czyli refleksje o związkowym ruchu „Odnowy" w MO.

Gdy „Magazyn Kryminalny 997" dotrze do czytelników, będzie już wiadomo, jakie poprawki w rządowo-poselskim projekcie ustaw o urzędzie ministra spraw wewnętrznych, urzędzie ochrony państwa, policji państwowej oraz pragmatyce służbowej funkcjonariuszy i pracowników tych służb naniesie Sejmowa Komisja Administracji i Spraw Wewnętrznych oraz Ustawodawcza. Na spotkaniach roboczych podkomisji, z udziałem przedstawicieli kierownictwa MSW, komendanta głównego MO oraz NSZZ FMO, dyskutowano nad każdym sformułowaniem kolejnych artykułów ustaw, pozostawiając kilka kwestii spornych do rozstrzygnięcia komisji.

Z prac Komisji Sejmowej

RESORT NA WIRAŻU

Projekt ustawy o urzędzie ochrony państwa,

wbrew obiegowym opiniom, nie budził większych kontrowersji. Rozszerzono w nim nieco zadania Urzędu Ochrony Państwa, wypisując na pierwszym miejscu: rozpoznawanie i przeciwdziałanie zagrożeniom godzącym w bezpieczeństwo państwa i jego porządek konstytucyjny, a dalej zapobieganie i ujawnianie zbrodni szpiegostwa i terroryzmu, podejmowanie działań zmierzających do ochrony tajemnicy państwowej, przygotowywanie informacji i analiz o stanie bezpieczeństwa państwa, ochrona bezpieczeństwa osób zajmujących kierownicze stanowiska we władzach państwowych itd., itd.

Nie wnoszono natomiast uwag odnośnie struktury organizacyjnej UOP. Na jego czele będzie stał szef powołany przez prezesa Rady Ministrów na wniosek ministra spraw wewnętrznych i podległy ministrowi.

W terenie działać będą delegatury UOP, których pracami kierować będą szefowie powołani, na wniosek szefa UOP, przez ministra spraw wewnętrznych.

Projekt ustawy określa precyzyjnie zakres kompetencji funkcjonariuszy UOP i uprawnień do zatrzymywania, przeszukiwania, dokonywania kontroli osobistej, przeglądania zawartości bagaży itp. Zezwala na użycie broni palnej na zasadach określonych w ustawie o policji, zabrania natomiast używania środków przymusu bezpośredniego, a więc pałki służbowej, wodnych środków obezwładniających, pocisków miotanych itp.

Precyzuje również kto, kiedy i na jakich zasadach może zarządzić kontrolę korespondencji, może uzyskiwać informacje tajnie i poufnie, gromadzić je, sprawdzać i przetwarzać, korzystać z pomocy obywateli nie będących funkcjonariuszami, wypłacać wynagrodzenia z funduszu operacyjnego.

Zarówno posłowie, jak i przedstawiciele resortu starali się, by ustawowe zapisy o formach pracy UOP nie pozostawiały żadnych możliwości interpretacji niezgodnej z intencją ustawodawcy.

Końcowe przepisy projektu ustawy przewidują kary, łącznie z karą pozbawienia wolności do lat 5, za naruszenie przy wykonywaniu czynności służbowych dóbr osobistych obywateli. W tej części posłowie zaproponowali wprowadzenie dodatkowego przepisu karnego za wydanie bezprawnego rozkazu (polecenia).

Projekt ustawy o policji

na pierwszym miejscu wśród zadań policji stawia ochronę życia i zdrowia obywateli oraz mienia przed bezprawnymi zamachami naruszającymi te dobra, dalej jest ochrona bezpieczeństwa i porządku publicznego, zapobieganie i wykrywanie przestępstw, ściganie sprawców, działania prewencyjne itd., itd.

Na czele policji stoi komendant główny, powołany na identycznych zasadach jak szef UOP i również podległy ministrowi spraw wewnętrznych. Jej terenowymi organami są komendanci wojewódzcy i rejonowi.

Ustawa określa służby wchodzące w skład policji kryminalnej i ogólnej, lokalnej oraz służby administracyjno-gospodarcze. Precyzuje również uprawnienia funkcjonariuszy, wykonujących czynności służbowe, do legitymowania, zatrzymywania osób, przeszukiwania, kontroli osobistej itd. Choć może nie zawsze wystarczająco dokładnie, gdyż przedstawiciele NSZZ FMO wnosili sporo uwag, np. do art. 11 ust. 3, gdzie ustawodawca mówiąc o uprawnieniach policji, użył sformułowania: zatrzymywanie osób stwarzających w sposób oczywisty bezpośrednie zagrożenie. Pytanie związkowców dotyczyło konkretnego określenia: co ustawodawca uważa za sposób oczywisty i kto ma tę „oczywistość" oceniać. Przy dyskusjach o artykułach dotyczących uprawnień funkcjonariuszy policji wyraźnie widoczna była czujność milicjantów, poparta przykrymi doświadczeniami, by przepisy sprecyzowane zostały jednoznacznie.

Podobna dyskusja toczyła się również przy formułowaniu art. 14 dotyczącego zasad użycia broni palnej. Ustalono w końcu, iż z tego przepisu wyłączona została możliwość użycia broni palnej w ochronie mienia, a na plan pierwszy wysunięto ustęp mówiący o tym, iż użycie broni palnej powinno następować w sposób wyrządzający możliwie najmniejszą szkodę osobie, przeciwko której jej użyto.

I w tej ustawie precyzuje się, na jakich zasadach można dokonywać kontroli korespondencji, stosować środki techniczne, umożliwiające w sposób tajny uzyskiwanie informacji oraz utrwalanie śladów i dowodów, a także korzystanie odpłatnie z pomocy obywateli nie będących funkcjonariuszami. Tak więc wreszcie zostaną uchwalone prawnie formy pracy policji, stosowane na całym świecie, które w naszym kraju budziły dotychczas sporo kontrowersji.

W projekcie ustawy zezwala się również prezydentom lub burmistrzom miast na tworzenie, w porozumieniu z ministrem spraw wewnętrznych, policji miejskiej, która na wniosek funkcjonariuszy MO, (nazwę policja chcą oni zastrzec wyłącznie dla policji podległej komendantowi głównemu), nazywać się będzie — strażą miejską.

Ustawa, podobnie jak poprzednia, przewiduje przepisy karne dla funkcjonariuszy policji, którzy nie wykonają poleceń lub naruszą dobra osobiste obywatela.

Przeciwko tym przepisom wypowiedzieli się przedstawiciele NSZZ FMO, którzy stwierdzili, iż w żadnych ustawach, dotyczących innych grup zawodowych, takich przepisów nie ma. Skoro w ustawie nie mówi się o ochronie prawnej funkcjonariuszy policji uważając, iż regulowana ona jest przepisami k.k., sprawy kar, zdaniem związkowców, również winny być uregulowane w k.k.

Najwięcej spornych kwestii było w ustawie o zmianie niektórych przepisów ustawy z 31 lipca 1985 r..., czyli w

Pragmatyce

Już sama treść ślubowania, a właściwie sformułowanie: „ślubuję (...) dochować wierności władzy zwierzchniej Państwa Polskiego" wywoływało, szczególnie wśród funkcjonariuszy MO, nieprzyjemne skojarzenia z minioną epoką. Posłowie wyrazili również opinię, iż to sformułowanie należy przeredagować.

Stopnie — to również temat wielu dyskusji. W końcu zapisano w projekcie, że oficerami policji będą: generalny komisarz policji, nadkomisarz, komisarz, podkomisarz, nadinspektor, inspektor, podinspektor; chorążymi: starszy aspirant, aspirant, młodszy aspirant; podoficerami: st. sierż. policji, sierżant, st. posterunkowy policji, posterunkowy policji; szeregowymi: st. policjant, policjant. Tu oponowali milicjanci — uważając, że takie określenia stopni są nieprecyzyjne, gdyż policjantami będą wszyscy: inspektorzy, aspiranci itp. Zaproponowano więc wprowadzenie stopni: aplikant i kandydat.

Artykuł 34 ustawy, mówiący w ust. 1 o obowiązku dochowania wierności złożonemu ślubowaniu w ust. 3, zezwala funkcjonariuszowi policji na odmówienie wykonania rozkazu lub polecenia, które prowadziłoby do popełnienia przestępstwa i w ust. 3 zapewnia, iż z powodu niewykonania takiego rozkazu funkcjonariusz nie może być pociągnięty do odpowiedzialności.

Jest w tej ustawie również zapis, że każdy funkcjonariusz nie może być członkiem partii lub stronnictwa politycznego, a prawo zrzeszania się w związku zawodowym ma jedynie funkcjonariusz policji. Oni również, w przeciwieństwie do funkcjonariuszy UOP, nie muszą uzyskiwać zezwolenia ministra spraw wewnętrznych na wyjazd dla siebie i swojej rodziny za granicę.

Pomijam celowo przepisy ustawy o zasadach udzielania wyróżnień i trybie postępowań dyscyplinarnych, gdyż interesują one przede wszystkim funkcjonariuszy. Zatrzymam się natomiast nad art. 2, który otwiera przepisy z cyklu

Reorganizacja

Z chwilą rozwiązania MO jej funkcjonariusze stają się funkcjonariuszami policji, pod warunkiem, że nie zostali przeniesieni do MO po dniu 31 lipca 1989 roku.

Z chwilą rozwiązania SB stosunek służbowy jej funkcjonariuszy zostaje rozwiązany. Rada Ministrów na wniosek ministra spraw wewnętrznych, uzgodniony z Politycznym Komitetem Doradczym, ustali tryb i warunki przyjmowania kandydatów do służby w UOP.

Funkcjonariusze zwolnieni z MO lub SB, którzy nie podejmą służby jako funkcjonariusze policji, UOP lub w MSW zachowują uprawnienia przewidziane dla funkcjonariuszy zwolnionych ze służby na podstawie art. 16, ust. 2, pkt 6, chyba że nabyli uprawnienia do zwolnienia ze służby na warunkach korzystniejszych.

Resortowe szkoły i służba zdrowia,

według projektu ustaw, przechodzą pod Ministerstwa Edukacji Narodowej i Zdrowia. Związkowcy zaprotestowali. Podkomisja protest przyjęła, odniosłam nawet wrażenie, że ze zrozumieniem, i rozstrzygnięcie sprawy pozostawiła do uznania komisji.

ELŻBIETA CIERLICA

---

7 bm. na posiedzeniu Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych oraz Ustawodawczej wystąpił wicepremier, minister spraw wewnętrznych gen. broni Czesław Kiszczak ustosunkowując się do rozbieżności poglądów dotyczących sposobu prawnego przekształcania dotychczasowych stosunków służbowych funkcjonariuszy resortu spraw wewnętrznych w stosunki odpowiadające nowym strukturom organizacyjnym.

Zwracając się do posłów podkreślił, iż w żadnym cywilizowanym kraju nie ma zbiorowej odpowiedzialności. Apelował o opracowanie przejrzystych, szczegółowych i sprawiedliwych zasad weryfikacji kadry MSW. Zwrócił również uwagę, iż aktualnie w resorcie spraw wewnętrznych zatrudnionych jest 87,3 proc. funkcjonariuszy, którzy urodzili się po drugiej wojnie światowej, a aż 98,6 proc. zatrudnionych wstąpiło do służby po 1956 roku. Od czerwca ub. roku do chwili obecnej dokonano 91 zmian na najwyższych stanowiskach kierowniczych.

Minister bronił również prawa funkcjonariuszy do własnego lecznictwa. Obie komisje, po burzliwej dyskusji, przyjęły do opracowania projekty 4 ustaw i rozpoczęły prace merytoryczne. Obecnie trwa czytanie ustawy o ministrze spraw wewnętrznych i nanoszenie poprawek. Następne posiedzenie obu komisji zaplanowane jest na 15 marca br.

---

2 marca w gościnnie udostępnionej Białej Sali siedziby Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych obradowali członkowie KKK milicyjnych związków. To ostatnie posiedzenie korzystnie odróżniało się od poprzedniego — zbyt momentami emocjonalnego i przegadanego. Teraz, w roboczej atmosferze i dobrym tempie, ustosunkowano się do najważniejszych problemów, podjęto decyzje, których ukoronowaniem są dwie uchwały.

Rozpoczęto od syntetycznego sprawozdania z działalności sekretariatu, przedstawił je przewodniczący KKK kpt. Romana Hula, informując o: wystosowaniu do Sejmu i Senatu apelu związkowców o tak oczekiwane rozstrzygnięcia, opracowaniu zasad współpracy sekretariatu z WKZ, działaniach zespołów roboczych do kontaktów z poszczególnymi służbami i departamentami, kontaktach i rzeczowych rozmowach w Ministerstwie Zdrowia oraz Ministerstwie Pracy, Płacy i Spraw Socjalnych, okazanej przez prezesa Komitetu ds. Radia i Telewizji życzliwości, która już zaowocowała programami, w których związkowcy przedstawią cele i zadania całego ruchu oraz swoje stanowisko w najistotniejszych sprawach.

Najbardziej dramatyczne wystąpienie dotyczyło sytuacji w Toruniu, gdzie od 1 marca br. trwa akcja protestacyjna, pod hasłem odwołania całego kierownictwa WUSW, które — mimo jednoznacznego stanowiska władz resortu — utrudnia działalność związkową. Przedstawiciel Torunia przytoczył fragmenty z obszernej listy zarzutów. Głosujący jednomyślnie opowiedzieli się za przyjęciem stanowiska, które znalazło wyraz w uchwale: „KKK apeluje do kierownictwa WUSW (...), aby skorzystało w trybie natychmiastowym z instytucji podania się do dymisji". Podobnie zdecydowanie wypowiedziała się KKK, uznając za słuszną i przekonującą argumentację WKZ NSZZ FMO w Słupsku i KZ tamtejszej szkoły milicyjnej, przemawiającą za koniecznością podania się do dymisji dwóch przedstawicieli tych kierownictw.

Na spotkanie ze związkowcami przybył szef Służby Kadr, Szkolenia i Wychowania MSW płk Leszek Lamparski, który poinformował, że ze 196 stanowisk kierowniczych w terenie odeszło ponad 80 osób, a dalszych ponad 20 złożyło raporty. Powiedział o konieczności zapewnienia przejściowej stabilizacji w trudnym czasie i zaapelował o dwie sprawy, po pierwsze — by wstrzymać się do

---

Komisja ds. opracowania kryteriów weryfikacji kadr policji KKK NSZZ FMO pod przewodnictwem chor. Krzysztofa Przybylskiego złagodziła nieco stanowisko wobec weryfikowanych. Stwierdza ona obecnie, że funkcjonariuszami policji nie powinni być:

1) dotychczasowi funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej, którzy do dnia 31 lipca 1989 roku byli funkcjonariuszami Służby Bezpieczeństwa,

2) funkcjonariusze MO, którzy przepracowali ogółem 30 lat, w tym nie mniej niż 25 lat w resorcie spraw wewnętrznych i zajmują stanowiska kierownicze. Kryterium to nie dotyczy pracowników dydaktycznych szkół resortowych o kierunku milicyjnym, z wyjątkiem osób pełniących w szkołach funkcje kierownicze,

---

- „MK 997" SAMODZIELNY
- WKRÓTCE „GAZETA POLICYJNA"

IV posiedzenie Krajowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ MO

W ROBOCZEJ ATMOSFERZE

końca marca z żądaniami odejścia wobec członków kierownictw służbowych, po drugie — by uchylić wcześniejszą decyzję o zablokowaniu ruchów kadrowych, co mogłoby już stworzyć warunki do budowania nowych struktur.

Zabierający głos związkowcy nie podzielili punktu widzenia płk. L. Lamparskiego. Stwierdzili, że poglądy i wypowiedzi przedstawicieli władz resortu rozmijają się z praktyką, uznali że resort potrafi działać błyskawicznie, gdy tak wygodnie kierownictwu. Niech nowi ludzie — powiedziano — tworzą nowe struktury, nie stawiajmy ich przed faktami dokonanymi. Raz jeszcze KKK poparła i podtrzymała decyzję o wstrzymaniu wszelkich ruchów kadrowych, z wyjątkiem przyjęć do służby i zwolnień.

Bardzo krytycznie ocenili związkowcy przedłożony przez KG MO projekt struktur przyszłej policji, został on w uchwale określony jako zachowawczy oraz zbiurokratyzowany i generalnie nie do przyjęcia. Postanowiono zorganizować ogólnopolską dyskusję na ten temat i w jej wyniku wypracować związkowy schemat przyszłych struktur.

Duże zaniepokojenie i protest wzbudziło wyrażone w projekcie poselsko-rządowym stanowisko wobec szkół resortowych, przewidujące ich włączenie do struktur Ministerstwa Edukacji Narodowej.

Na poprzednim posiedzeniu w Gdańsku zwrócono się z apelem do związkowców o powstrzymywanie się od akcji protestacyjnych. Teraz — na zasadach wzajemności — zażądano od MSW skierowania apelu do szefów WUSW i RUSW o zaprzestanie wszelkich prowokacyjnych zachowań, nonszalancji i arogancji, drukowania szkalujących ulotek, rozpowszechniania fałszywych informacji itp., gdyż działania te w większości przypadków są przyczyną powstawania konfliktów.

Również sprawy płacowe były tematem wypowiedzi i polemik, zdecydowano, że dodatek żywnościowy winien być naliczany i wypłacany na dotychczasowych zasadach, a planowana najbliższa podwyżka wypłacana w jednakowej dla wszystkich funkcjonariuszy kwocie.

Rozważano też kwestie dotyczące służby zdrowia, a przede wszystkim CSK. Czy w sytuacji, kiedy ma przejść on prawdopodobnie do lecznictwa ogólnego, nie należałoby wstrzymać dopływu środków z budżetu MSW, zwrócono się również do kierownictwa resortu o spowodowanie powrotu do macierzystych jednostek funkcjonariuszy z terenu budowy CSK.

Krajowa Komisja Koordynacyjna NSZZ FMO zwróciła się do WKZ, by w swych działaniach uwzględniały sprawy emerytów i rencistów, reprezentując ich interesy wobec kierownictw i udzielały pomocy w tworzeniu kół (sekcji).

JOLANTA ŚLIFIERZ
zdj. K. Potocki

PROPOZYCJA WERYFIKACJI

3) byli zastępcy szefów WUSW, RUSW, MUSW, DUSW, ds. polityczno-wychowawczych, naczelnicy i zastępcy naczelników wydziałów polityczno-wychowawczych oraz pracownicy tych wydziałów, o ile nie przyjmą proponowanych im stanowisk podstawowych w policji, z wyłączeniem wydziałów szkolenia i kadr.

4) funkcjonariusze, którzy w okresie służby w organach MO byli delegowani na stanowiska etatowe, kadrowych pracowników w organizacjach politycznych,

5) funkcjonariusze, którzy przeszli do służby w resorcie spraw wewnętrznych bezpośrednio z organizacji politycznych od 1 stycznia 1980 roku,

6) funkcjonariusze, którzy pełnili funkcje etatowych sekretarzy PZPR w jednostkach resortu spraw wewnętrznych,

7) absolwenci akademii politycznych lub do szkół resortu spraw wewnętrznych w ZSRR,

8) funkcjonariusze, którzy byli zatrudnieni w Zarządzie Ochrony Funkcjonariuszy MSW i jego komórkach terenowych,

9) funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, którzy w okresie pracy w resorcie spraw wewnętrznych pełnili funkcje kierownicze od zastępcy naczelnika wydziału wzwyż oraz pozostali, którzy do chwili rozwiązania tej służby nie podjęli indywidualnych decyzji o przejściu do MO.

Komisja sugeruje, aby weryfikacja była przeprowadzona z udziałem przedstawicieli parlamentu, członków rządu, Politycznego Komitetu Doradczego przy ministrze spraw wewnętrznych oraz przedstawicieli NSZZ FMO.

Przestaje ukazywać się wydanie wewnętrzne naszego czasopisma „MK 997 — Wsn", wysyłane dotąd do prenumeratorów z jednostek resortu spraw wewnętrznych. Stanowiło ono integralną całość z „MK 997". Od początku roku ukazały się cztery numery wspomnianej edycji. Trudności finansowe i techniczne zmusiły redakcję do zawieszenia tego tytułu.

Wkrótce, przypuszczalnie 7 kwietnia, funkcjonariusze otrzymają pierwszy numer innego czasopisma, tańszego i mniej skomplikowanego pod względem technicznym. Będzie to dwutygodnik. Tytuł? Nam się podoba — „Gazeta Policyjna". Część nakładu skierujemy do powszechnej sprzedaży.

Tak więc prenumeratorzy z jednostek MO, którzy opłacili prenumeratę za II kwartał, obok „Magazynu Kryminalnego 997", będą otrzymywali „Gazetę Policyjną".

Równocześnie informujemy, iż od bieżącego numeru „MK 997", dla celów porządkowych, otrzymuje samodzielną kolejną numerację, odpowiadającą cyfrze prezentowanej z prawej strony tytułu w gwiazdce.

REDAKCJA

BILET W JEDNĄ STRONĘ

Nasze milicyjne związki zawodowe działają wciąż jeszcze de facto, ale nie de iure. Na razie trwa etap umacniania się tego pospolitego ruszenia, a zarazem jego obrona przed ludźmi, którzy z pozoru tylko pogodzili się z nową sytuacją i rozpuszczając plotki usiłują deprecjonować ruch związkowy. Każda okazja dobra. Perturbacje ze służbą zdrowia? Wiadomo, związkowcy oddali. Weryfikacje? Podobnie. Tymczasem jest dokładnie odwrotnie — staczane ciężkie boje o nasze lecznictwo oraz troska o to, by każdemu uczciwemu człowiekowi dać szansę w przyszłej policji.

Czy to wszystko ułoży się po naszej myśli, jest sprawą oddzielną. Związki nie są przecież jedyną siłą o dużych wpływach, a sztuka mądrego kompromisu jest — obok konsekwencji i woli walki — wiele warta.

Zrobiono już tak dużo. Silny, zjednoczony ruch reformatorski coraz wyraźniej zaznacza swą obecność. Powiedziano „do widzenia" skompromitowanym przełożonym, upomniano się o ludzi wyrzucanych z trzaskiem i bez powodu, zrobiono trochę porządków. Trwają przymiarki do takich przesunięć kadrowych, aby jak najlepiej wykorzystywać kwalifikacje, wychodzi się do społeczeństwa (łącznie z najbardziej zbuntowanymi odłamami), by poznać się nawzajem i może zrozumieć. Dużo mówi się i proponuje od skali makro (ogólna struktura) po skalę mikro (pojedyncze stanowisko).

Ale — z całym uznaniem dla powyższego stała się też rzecz, kto wie, czy nie najistotniejsza. **Związki przywróciły ludziom poczucie godności.** Ludzie wreszcie stali się podmiotem, a nie marionetką w przypadkowych rękach.

Zostało poszanowanie dla służbowej hierarchii — jakże inaczej! — lecz w spotkaniach przełożony — podwładny ten ostatni nie może już być tylko ślepym narzędziem i wykonawcą rozkazów. Było kiedyś powiedziane „szef zawsze ma rację, nawet jeśli... nie ma racji". Choć żartobliwe, w pełni oddawało rzeczywistą sytuację. Dziś powinno obowiązywać nowe hasło: „szef ma rację, chyba że jej nie ma".

Są przełożeni, którzy potrafili dostrzec partnera w związkach, są i tacy, którzy nadal widzą tylko to, co na pagonach a nie w głowie i wierzą w swój monopol na słuszność. Z tymi niereformowalnymi nam nie po drodze. Godność raz obudzona ma to do siebie, że się zdławić nie daje.

Nabrzmiewała w ludziach gorycz, zwłaszcza gdy widzieli, że wokół zaczyna się robić normalniej. Policjant też człowiek i nie chciał wiecznie siedzieć w cieniu wąsów nieboszczyka Józefa. Do wczoraj przecież obowiązywały niewolnicze anachronizmy — zwalnianie za poglądy, przekonania religijne, za to, że pociotek w „Solidarności" albo za granicą, za własne zdanie i odwagę jego głoszenia. To wszystko w imię szyderczo wzniosłego i lakonicznego „dla dobra służby".

Gdy powiało od Piekar i z północy, pojawiła się nadzieja. Próbowano tych pierwszych związkowców albo przekupić, albo zastraszyć. — Czego chcecie? — pytano. — Rzetelnie pracować w bardziej normalnych warunkach — odpowiadali spokojnie. Nie marzyły się im awanse i pseudokariera, nie przerażała także perspektywa zejścia szczebel niżej. Ani kij więc, ani marchewka nie mogły zadziałać.

JOLANTA ŚLIFIERZ

POLOWANIE NA MILICJANTÓW

Roman Żaba, 22-letni elektromechanik z Dobczyc, jest skromnym człowiekiem. Sprawia wrażenie onieśmielonego. Przez kilka ostatnich dni stał się znany, choć służba, którą podjął rok temu, nie lansuje indywidualności.

— Naszą siłą jest pododdział zwarty — wyjaśnia zawodowy funkcjonariusz Krakowskiego Oddziału Prewencji MO. — Szyk stanowi podstawę działania. Widok zgranego, dobrze wymusztrowanego plutonu milicyjnego w pełnym rynsztunku powinien spełniać funkcję profilaktyczną.

Przypadek szeregowego Romana Żaby zdaje się potwierdzać tę zasadę.

Przeciętnie raz w tygodniu zdarza się w Krakowie zadyma. Organizuje i zaprasza „A-Front" (Front Antykomunistyczny), do niego przyłączają się przeważnie KPN, Federacja Młodzieży Walczącej oraz WiP. Ulubionym dniem spotkań organizatorów jest środa. Zaczyna się wczesnym popołudniem, przed pomnikiem Adama Mickiewicza na Rynku Głównym. Potem jest wiec. W hasłach głoszonych spod pomnika wieszcza znajdują się elementy stałe („Sowieci do domu", „Precz z komuną") i koniunkturalne („Rozwiązać SB" czy „Odebrać majątek PZPR"). Z reguły wiec przekształca się w pochód.

— Tu następuje kolejny stały element zadymy — mówi zastępca dowódcy Krakowskiego OPMO ppłk Franciszek Musztafa. — Gdy demonstracja zaczyna nabierać cech agresywnych, główni organizatorzy oświadczają, że za dalszy przebieg nie biorą odpowiedzialności.

Organizatorzy, którzy odcinają się od dalszego przebiegu manifestacji odchodzą ostentacyjnie. Nastroje są jednak podgrzane do tego stopnia, że rozróba po prostu musi być. Szeregowy R. Żaba i jego koledzy doświadczają tego na własnej skórze od dłuższego czasu.

1 lutego milicji nie ma na Rynku Głównym ani w jego bezpośredniej okolicy. Tłum idzie ulicą Karmelicką i w swoich poszukiwaniach dociera do siedziby OPMO przy ulicy Siemiradzkiego. Nie znajduje jednak godnego celu oprócz jednej „polewaczki". Mimo że uczestnicy pochodu wołają „MO — gestapo", nie ma się z kim bić. Tłum nie rezygnuje. Wiadomo bowiem, że jest w Krakowie miejsce, gdzie milicja pozwoli się odnaleźć.

— Na konsulat! — padają okrzyki. Demonstranci posłusznie ruszają w dobrze znanym kierunku. Po ostatnich, ostrych protestach strony radzieckiej siedziba Konsulatu Generalnego ZSRR jest jednym z najpilniej strzeżonych obiektów w mieście. Przy akompaniamencie krzyków i gwizdów idą więc znowu Karmelicką, wokół Plant, w stronę ulicy Westerplatte.

Milicja rzeczywiście jest tutaj. Tłum rozpiera poczucie triumfu. Kordon funkcjonariuszy zagradza drogę. Można więc zaczynać. Od strony Dworca Głównego PKP oraz ulicy Św. Marka lecą na milicjantów kamienie i butelki z benzyną.

— Jeżeli atakują nas od frontu, nie jest tak strasznie — opowiada młody funkcjonariusz z OPMO. — Wtedy jednak zostaliśmy obrzuceni przez zorganizowane grupy kryjące się za plecami niczego nieświadomych ludzi czekających na przystanku.

— Ci ludzie wskazali nam potem niektórych sprawców — podkreśla ppłk Musztafa. — To o czymś świadczy.

Agresywny tłum zostaje rozproszony. Przemieszcza się bezładnie w stronę Plant i Basztowej. Część pozostaje w okolicy Dworca Głównego PKP, gdzie zachęcona i zasilona przez przedstawicieli marginesu społecznego wszczyna gwałtowne rozróby. Aby uspokoić sytuację, udaje się w tym kierunku pluton milicji.

Jest w nim szeregowy Roman Żaba. Pododdział idzie w dwuszeregu. Chyba rzeczywiście w tym jego siła, bo sam widok OPMO-owców w pełnym rynsztunku sprawia, iż zadymiarze tracą ochotę do spotkania z nimi i pierzchają w różne strony. Niektórzy uciekają, inni kryją się w bramach. Stwierdziwszy to, dowódca plutonu wydaje komendę „W tył zwrot". Pododdział zawraca i kieruje się w stronę stanowisk wyjściowych. Nadal idzie w szyku zwartym, tylko szeregowy Żaba zostaje na chwilę trzy metry z tyłu. Nagle czuje uderzenie w tył głowy.

— Najwięcej problemów przysparzają nam właśnie takie sytuacje — stwierdza zastępca dowódcy OPMO w Krakowie. — Dopóki wszyscy są razem, zagrożenie jest, ale ma zupełnie inny charakter. Wyłamanie się jednego milicjanta z szyku w warunkach zamieszek ulicznych, często ma fatalne skutki...

Kiedy pododdział idzie ulicą Basztową, z bramy wybiega mocno zbudowany, młody mężczyzna. W rękach trzyma duży, żelazny kosz na śmieci. Bierze szeroki zamach i z całej siły rzuca nim w tył głowy przechodzącego funkcjonariusza. Ten upada tracąc przytomność. Natychmiast zostaje otoczony przez grupę napastników, którzy biją go i kopią. Ktoś znowu chwyta metalowy kosz i unosi go do góry. Lincz jest o krok...

Jest ciemno. Koledzy z plutonu nie orientują się jeszcze, że szer. R. Żaba jest masakrowany kilkadziesiąt metrów za nimi. W tej samej jednak chwili przez ulicę przebiega mężczyzna. Przedziera się przez grupę wyrostków katujących milicjanta i zasłania go.

— Zostawcie go, to też człowiek! — woła i pochyla się nad nieprzytomnym.

— Bronisz skurwysyna, sam jesteś skurwysyn! — słyszy w odpowiedzi. Żelazny kosz spada tym razem na jego głowę. Józef Krawczyk, inspektor BHP Południowej Dyrekcji Kolei Państwowych jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, bo odważył się sprzeciwić przemocy i bezprawiu.

MILICJA INFORMUJE

(Wybór zdarzeń kryminalnych)

HORROR

● 17 lutego w Szczypkowicach (słupskie) ujawniono przysypane ziemią i deskami zwłoki zaginionej Anny K., uczennicy 2 klasy szkoły podstawowej z licznymi ranami głowy oraz zadzierzgniętym na szyi szalikiem. Ustalono, że prawdopodobną sprawczynią zabójstwa jest Joanna K., czternastoletnia uczennica 7 klasy.

● 18 lutego w Białymstoku w opuszczonym budynku mieszkalnym ujawniono obnażone zwłoki 6,5 miesięcznej Marty M. 16 lutego dziewczynka została uprowadzona z wózka przez nieznanego sprawcę.

● 1 marca w Poznaniu uczeń II klasy ZSZ Michał K. bez powodu dokonał zabójstwa swojej siostry Joanny (lat 16), którą kilkakrotnie uderzył w głowę tasakiem. Ponadto zranił drugą siostrę Łucję (lat 14).

W OBRONIE MIESZKANIA

● 27 lutego w nocy w Sopocie znaleziono zwłoki Arkadiusza W. Ustalono, że wraz z Krzysztofem G. usiłował dokonać włamania do mieszkania Zbigniewa S., lecz w trakcie forsowania drzwi zostali zaskoczeni przez właściciela. Doszło do bójki, podczas której Zbigniew S. ugodził jednego ze sprawców nożem w szyję, co spowodowało śmierć w wyniku wykrwawienia. Właściciela mieszkania ze złamaną szczęką umieszczono w szpitalu.

FASZYŚCI WŚRÓD NAS

● 24 lutego około południa na rynku we Wrocławiu Związek Studentów Afrykańskich w Polsce zorganizował wiec i koncert z okazji uwolnienia Nelsona Mandeli. Około godz. 13.10 studenci afrykańscy i polscy zostali zaatakowani przez dwudziestoosobową grupę młodych ludzi z flagami ze swastyką, wznoszących ręce w hitlerowskim pozdrowieniu. W wyniku zajścia student z Kenii doznał obra-

Mówi lekarz Leszek Rzepecki, który 1 lutego pełnił dyżur w szpitalu WUSW przy ul. Galla w Krakowie:

— Roman Żaba został przyjęty do szpitala ze złamaniem lewej gałęzi żuchwy, licznymi ranami i otarciami twarzy oraz wstrząsem mózgu. Został poddany natychmiastowej operacji. Ma założony opatrunek szczękowy zabezpieczony drutem, co sprawia, że trudno mu mówić. Obecnie jednak stan pacjenta można uznać za zadowalający. Odniesione obrażenia nie powinny mieć żadnych negatywnych następstw w przyszłości. Jednak — przyznaje po chwili — gdyby nie kask ochronny, mogłoby być o wiele gorzej.

— Kask uratował mu życie — stwierdza z przekonaniem ppłk Musztafa. — I krakowski kolejarz.

Józef Krawczyk po opatrunku i krótkiej obserwacji na oddziale chirurgii został zwolniony do domu. Przebywa pod stałą opieką lekarską.

Szeregowy R. Żaba patrzy optymistycznie w przyszłość. Właśnie wrócił z kolejnej konsultacji w klinice chirurgii szczękowej Akademii Medycznej w Krakowie. Prognozy są dobre. Gdy tylko będzie można, wypiszą go ze szpitala i będzie mógł jechać do domu na rekonwalescencję.

Teraz siedzi na łóżku, trochę zakłopotany, że nie może zbyt wiele mówić.

Nie ma w sobie nic z bohatera, choć było u niego wielu dziennikarzy. W ogóle, nie narzeka na brak wizyt. Przychodzą koledzy i przełożeni z jednostki. Właśnie gdy kończymy naszą krótką rozmowę, w przejściu prowadzącym do salki w której leży, pojawia się kilka osób. Odwiedzić szeregowego Żabę przyszedł szef Urzędu Rady Ministrów — minister Jacek Ambroziak. Towarzyszy mu zastępca szefa ds. MO WUSW w Krakowie — płk Władysław Nowak. Szeregowy Żaba podaje mi rękę na pożegnanie i mówi, choć sprawia mu to trudność:

— Wrócę do służby bez żadnych obciążeń. To był wypadek przy pracy, który może zdarzyć się każdemu.

CEZARY WOLIŃSKI

zdj. arch.

SPOTKANIE Z POSŁEM

Poseł Kazimierz Czerwiński spotkał się z funkcjonariuszami lubelskiego RUSW. Podzielił się refleksją polityczną o współczesności, która nie jest oczyszczona z niechęci do resortu spraw wewnętrznych. Zły milicjant to jak zły ksiądz czy zły nauczyciel — zatruwa opinię całego środowiska, wywołuje emocje — stwierdził. — Nie mówmy o winie, pozbywajmy się balastu przeszłości przez rozsądne przekształcenia.

W dyskusji komendant I Komisariatu MO mjr Eugeniusz Kura mówił m. in. o nadmiernie rozrośniętej biurokracji i o tym, że milicjantów nie widać na ulicach, bo są przykuci do biurek papierami. Kpt. Jan Nalewajek niepokoił się o jednostki kolejowe MO. Ppor. Waldemar Wieprzowski pytał o gwarancje suwerenności zawodu policjanta w kontekście podległości samorządom terytorialnym, o szanse związków zawodowych MO w nowej rzeczywistości i... o pogłoski o szkoleniu na Zachodzie kadr kierowniczych przyszłej policji. Zebrani byli ciekawi tego, co się kryje za sympatią L. Wałęsy do generała Kiszczaka i co się mówi w Sejmie o uchylaniu się ministra spraw wewnętrznych od obecności w parlamencie, nawet w chwilach, gdy dyskutuje się o „być albo nie być" resortu. Kpt. Zygmunt Sochaczewski odniósł się do społecznych mitów o zarobkach w MO i optował za wprowadzeniem nowego umundurowania, bez względu na koszty, bo to kwestia akceptacji społecznej, tak potrzebnej w walce z przestępczością.

Płk Jan Mróz, mjr Zdzisław Kasprzak i por. Zbigniew Głowacki rozpętali dyskusję o resortowej służbie zdrowia. Likwidację takich służb rozpoczęto od MSW; czy na MSW ma się ona zakończyć? Jak się zachowa lekarz cywilny wobec milicjanta, który go ukarał mandatem lub przyłapał na spekulacji? Milicja jako chyba jedyna grupa zawodowa ma ustawowy obowiązek narażania zdrowia i życia. Jak się będzie czuł milicjant ranny w starciu z bandytą, jeżeli położą go obok postrzelonego przez niego przestępcy? Czy ktoś w parlamencie o tym pomyślał? Dlaczego mówi się o męczeństwie ks. Popiełuszki, a milczy o śmierci milicjanta Karosa? Dlaczego eksponuje się tragedię grudniowych robotników, a zapomina o 60-letnim milicjancie z budki wartowniczej koło konsulatu radzieckiego w Gdańsku, zatłuczonym na śmierć kilofami?

Drugi nurt dyskusji dotyczył funkcjonowania partii politycznych, a w szczególności Stronnictwa Demokratycznego, reprezentowanego przez posła K. Czerwińskiego.

— Powrót do normalności nie będzie wolny od stresów, ale czas tych groźnych podziałów już minął. Z optymizmem widzę przyszły odbiór społeczny policji — stwierdził poseł.

Podobne spotkanie odbyło się w świetlicy chełmskiego RUSW, gdzie na pytania milicjantów odpowiadali senator Eugeniusz Wilkowski i poseł Eugeniusz Ujas.

H.M.

CZARNY ROK NA POLSKICH DROGACH

Bilans wypadków drogowych w 1989 r. jest przerażający. Każdy weekend kończył się śmiercią kilku czy kilkunastu użytkowników dróg, przybywało ofiar nieostrożności własnej i cudzej, ofiar pijanych kierowców.

W ub. roku zanotowano 46 287 wypadków drogowych, w których 59 629 osób doznało obrażeń ciała, 4 162 zaś zginęły na miejscu. Odnotowano czarny rok na polskich drogach. Najwyższy wzrost wypadków (o 66,9 proc.), ofiar (o 63,6 proc.) oraz zabitych (o 77,2 proc.) miał miejsce w marcu oraz w styczniu. Poprawa bezpieczeństwa nastąpiła dopiero w ostatnim kwartale ub. r.

Zwiększoną liczbę wypadków odnotowano na terenie całego kraju, w największym stopniu w województwach: płockim, ciechanowskim, pilskim, elbląskim, leszczyńskim, sieradzkim, koszalińskim i zamojskim. Najniższe wskaźniki były w województwach: kaliskim, jeleniogórskim, wrocławskim, rzeszowskim, katowickim i łomżyńskim. Należy jednak pamiętać o tym, że zagrożenia największe, szczególnie w odniesieniu do wypadków i ofiar, występują w aglomeracjach (stołeczne, łódzkie, gdańskie, krakowskie, poznańskie).

Najczęściej sprawcami wypadków drogowych byli: kierowcy samochodów osobowych, piesi, rowerzyści, motocykliści, kierujący samochodami ciężarowymi, ciągnikami i autobusami.

Myślę, że warto bliżej przyjrzeć się mapie tragicznych zdarzeń. Wypadki koncentrowały się przede wszystkim na prostych odcinkach dróg (53,8 proc.), na skrzyżowaniach (19,7 proc.) i zakrętach (10,7 proc.). O 28,4 proc. wzrosła liczba wypadków na przejściach dla pieszych.

Nietrzeźwi kierujący spowodowali 10,8 proc. ogólnej liczby wypadków, natomiast pijani piesi spowodowali 8,7 proc. tragicznych zdarzeń. Funkcjonariusze MO skierowali do kolegiów 130 473 wnioski o ukaranie nietrzeźwych kierujących (w tym 81 128 na kierujących pojazdami silnikowymi).

kirz.

OGŁOSZENIA

Redakcja „Magazynu Kryminalnego 997" przyjmuje do druku ogłoszenia. Można je składać w siedzibie redakcji lub nadsyłać pocztą pod adresem: 00-896 Warszawa, ul. Ogrodowa 28/30.

Wpłatę można przekazać osobiście lub przesłać przekazem pocztowym według wyliczenia 3000 zł za słowo lub 6000 zł za cm².

Treść ogłoszenia można umieścić na odwrotnej stronie odcinka adresata lub przesłać w kopercie z dopiskiem „Ogłoszenia".

Redakcja „MK 997"

OGŁOSZENIE

PARKIET DĘBOWY SPRZEDAM

Warszawa
tel. 45-68-74

(D-2)

„MK 997" ODPOWIADA

Wioletta K. — Cybinka, Aldona R. — Siedlce. W 4 numerze „MK 997" znajdziecie odpowiedź na swoje pytania. W chwili obecnej nie ma szkół pomaturalnych o profilu milicyjnym. Dalsze informacje można uzyskać w wydziałach kadr WUSW.

Tomek — Piła. Najpierw musisz odbyć zasadniczą służbę wojskową, ewentualnie w Oddziałach Prewencji MO, a następnie rozpocząć starania o pracę w szeregach milicji (policji).

Patrycja — Komorów. Przypuszczalnie chodzi Ci o stanowisko eksperta kryminalistyki. Chemicy też są tam potrzebni, ale najchętniej z wyższym wykształceniem.

Krzysztof S. — Góra Puławska Bez odbycia zasadniczej służby wojskowej nie masz szans. Do oddziałów antyterrorystycznych najchętniej przyjmują byłych komandosów.

R.

żeń głowy. Do DUSW Wrocław-Stare Miasto dowieziono 8 najaktywniejszych napastników.

NIEBEZPIECZNYM KURSEM

● 23 lutego po godz. 23.00 na dworcu PKP w Jeleniej Górze do taksówki Krzysztofa W. wsiadło 3 pasażerów i zamówiło kurs do Wojnowa. W miejscowości tej do napastników dołączył jeszcze jeden mężczyzna, po czym siłą wyprowadzili taksówkarza z pojazdu i przywiązali go do drzewa. Krzysztof W. zdołał się uwolnić i powiadomił o napadzie RUSW w Jeleniej Górze. Milicja zatrzymała Jacka i Elżbietę K., Roberta F. i Włodzimierza J. W czasie zatrzymania Jacek K. zaatakował nożem funkcjonariusza. Prokurator aresztował podejrzanych.

2 KILOGRAMY ZŁOTA

● 24 lutego o godz. 14.00 w Łodzi na klatce schodowej zaatakowano Zdzisława K. Nieznani sprawcy obezwładnili go gazem łzawiącym, pobili i zrabowali mu torbę z 13 tys. dolarów USA, 13 mln zł oraz... 1,85 kg złotych wyrobów.

2 SKRZYNKI PIWA

● W nocy 27 lutego dokonano w Warszawie napadu na mieszkanie Tadeusza P. Sprawcy pobili właściciela i jego żonę, a następnie skradli 2 skrzynki piwa. Funkcjonariusze MO zatrzymali Adama P. i Norberta J., obydwaj nigdzie nie pracują.

PO GANGSTERSKU

● 3 marca około godz. 19.30 w Kędzierzynie-Koźlu 2 nieznanych mężczyzn dokonało napadu na cywilnego strażnika jednostki wojskowej. Sprawcy elastycznym bandażem związali i zakneblowali Ignacego L. (lat 52), a następnie zrabowali mu pistolet maszynowy wz. 43, 35 sztuk amunicji, radiostację nasobną i pas skórzany z ładownicą. Najprawdopodobniej ci sami sprawcy w dniu następnym w Opolu przy ul. Wrocławskiej sterroryzowali tą bronią ajentów stacji CPN, po czym związali ich i zrabowali utarg w wysokości około 20 mln zł.

PÓŁ MILIARDA ZŁOTYCH

● 4 marca w Swarzędzu ujawniono włamanie do willi Jana W., właściciela zakładu tapicerskiego. Sprawcy skradli sejf zawierający 50 mln zł, waluty obce i bony lokacyjne, a także kasetkę z biżuterią, ze złotymi monetami itp. Straty oszacowano na pół miliarda złotych.

oprac. MAT

SEZAM 997

Już po raz trzeci spotykamy się w „Sezamie 997". Przypominam, że naszym celem jest publikacja zdjęć przedmiotów pochodzących z kradzieży i odzyskanych przez funkcjonariuszy MO z całego kraju, które jak dotąd nie znalazły właścicieli, publikacja zdjęć przedmiotów zaginionych podczas włamań mieszkaniowych i nie tylko oraz prezentowanie portretów pamięciowych osób poszukiwanych i podejrzanych o poważne przestępstwa kryminalne, a także zdjęć przestępców już zatrzymanych, którzy działali na terenie całego kraju i istnieje podejrzenie, iż nie wszystkie ich ofiary zgłosiły się do MO.

Liczymy na reakcję tych wszystkich, którzy w pokazanych materiałach rozpoznają kogokolwiek lub cokolwiek albo będą w stanie przedstawić prowadzącym śledztwo nowe, nie znane dotąd szczegóły dotyczące danej sprawy. Wszyscy czytelnicy, którzy rozpoznają na zaprezentowanych poniżej zdjęciach utracone w wyniku włamań, kradzieży czy w inny sposób przedmioty i zgłosili ten fakt milicji, będą mogli w niedługim czasie je odzyskać.

A może ktoś posiada w domu zdjęcia wartościowych przedmiotów, które utracił podczas włamania? Czekamy na listy.

KTO STRACIŁ WIDEO?

Prezentowany na zdjęciu obok mężczyzna podejrzany jest o wiele włamań i oszustw przy wypożyczaniu sprzętu wideo. Podczas przeszukania jego mieszkania znaleziono m.in. dowody osobiste 6 mężczyzn. Na te właśnie dowody wypożyczał sprzęt wideo, który nigdy już nie wracał do właściciela. Wszystkie pokrzywdzone osoby i instytucje prosimy o kontakt.

W KOŚCIELE

30 stycznia ub.r. w Rożnowie koło Obornik w województwie poznańskim włamano się do miejscowego kościoła. Przestępcy po sforsowaniu drzwi skradli zabytkowe przedmioty, których zdjęcia i szczegółowy ich opis przedstawiamy poniżej:

Suknia srebrna, trybowana, składająca się z kilku części, posiadająca motywy dużych kwiatów oraz podobna suknia z motywem w łuski. Ponadto zginęły także dwie korony zamknięte, pałąkowate z kulami i krzyżykiem w zwieńczeniu. Obie wykonane są w stylu barokowym i pochodzą z I połowy XVIII w. Sukienki i korony umocowane były na obrazie, który widzimy na zdjęciu, przedstawiającym postać św. Anny trzymającej na lewym ręku małą Marię z dzieciątkiem.

Podczas tego włamania skradziono także kielich srebrny, trybowany, częściowo złocony, wykonany w stylu barokowym w II połowie XVII w. o wysokości 24,5 cm, o średnicy stopy 12,5 cm i średnicy czaszy 8,5 cm. Kielich osadzony jest na stopie kulistej z obrzeżem, nodus jajowaty, wydzielony pierścieniami, dekorowany trzema liśćmi, czasza z koszyczkiem dekorowana trzema uskrzydlonymi główkami aniołków i kwiatami tulipanów. Koszyczek, nodus i dolna część stopy złocone.

TAJEMNICZY OBRAZ

Niedawno powrócił do Polski skradziony i wywieziony z kraju obraz olejny malowany na płótnie o wymiarach 45 x 26 cm przedstawiający biskupa. Fotografię obrazu zamieszczamy obok. Biuro Kryminalne KG MO nie ustaliło dotąd jego właściciela. Ktokolwiek rozpoznaje na zdjęciu swoją własność, proszony jest o kontakt z naszą redakcją lub najbliższą jednostką MO.

W WYNIKU WŁAMANIA

do jednego z mieszkań w Warszawie zginęło m.in. prezentowane na zdjęciu obok futro. Na osobę, która mogłaby udzielić informacji w tej sprawie czeka nagroda. Prosimy w tym wypadku o kontakt z naszą redakcją.

GWAŁCICIEL

ze Słupska został zatrzymany 22 sierpnia ub.r. Do tego czasu dopuścił się wielu czynów nierządnych, których ofiarami padły małe dziewczynki. Przestępca ten podróżował mercedesem 200 D nr rejestracyjny: SLD 4853 koloru jasnobeżowego z brązową tapicerką (podejrzanego prezentujemy na zdjęciu) i po drodze zabierał przygodnie spotkane kobiety lub małe dziewczynki, wobec których dopuszczał się czynów nierządnych. Nie używał siły. Napadniętym groził posiadanym przy sobie pistoletem gazowym i zmuszał je do uległości. W niektórych przypadkach poszkodowanym wręczał pieniądze oraz odwoził je tam, gdzie sobie życzyły.

Z ustaleń śledztwa wynika, że działał na terenie całego kraju. Prosimy więc wszystkie poszkodowane osoby o kontakt z najbliższą jednostką MO.

NA ZAMÓWIENIE

3 kwietnia ub.r. pracownica Muzeum Książki Środkowego Nadodrza mieszczącego się w budynku Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Kamila Norwida w Zielonej Górze zauważyła otwarte drzwi na IV piętrze nieczynnego w tym dniu (poniedziałek) muzeum. Weszła na górę i ku swemu zaskoczeniu spostrzegła buszujących między starodrukami trzech mężczyzn, którzy na jej widok rzucili się do ucieczki. Jeden z nich porzucił torbę, w której znajdowały się przygotowane już do wyniesienia starodruki. Wartość tychże książek wynosiła ponad 40 mln zł. Sprawcy nie tknęli jednak innych o wiele bardziej wartościowych pozycji. Może działali na konkretne zamówienie tajemniczego kolekcjonera?

Mimo iż sprawa ta trafiła już do telewizyjnego programu z cyklu „997", włamywacze nadal pozostają nieznani. Przypominamy więc ich portrety pamięciowe sporządzone na podstawie zeznań bibliotekarki.

Ktokolwiek mógłby udzielić informacji o prezentowanych powyżej sprawach, proszony jest o telefoniczny lub listowny kontakt z naszą redakcją, Biurem Kryminalnym KG MO lub najbliższą jednostką MO.

opracował
TADEUSZ NOSZCZYŃSKI
reprodukcje Krzysztof Potocki

PAWEŁ SZLACHETKO i JERZY KIRZYŃSKI

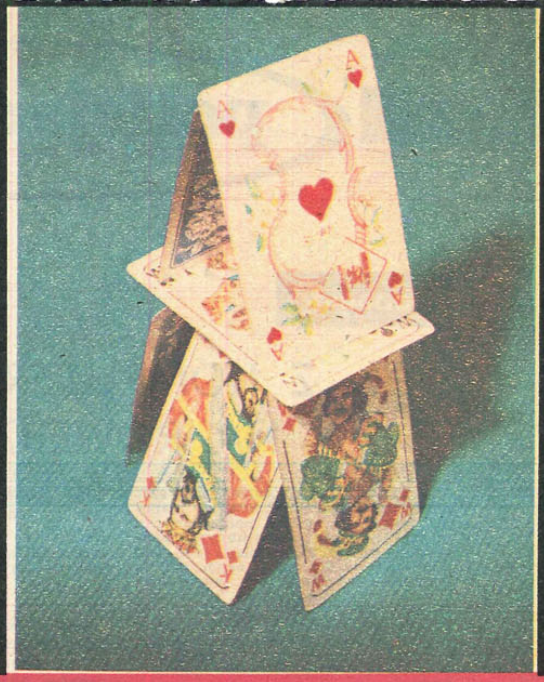

DOMEK Z KART

Kiedy w warszawskim hotelu „Mariott" ruszyło koło ruletki, w stolicy powiało wielkim światem. Rien ne va plus — nim na sali gry słowa te po raz pierwszy wypowiedział krupier, od zakończenia wojny Warszawa słyszała już o wielu osobach, które przy ruletce bądź zielonym stoliku przegrały majątek. Na przykład w połowie lat siedemdziesiątych jeden z właścicieli podwarszawskiej lisiej fermy przegrał w jedną noc 5 milionów złotych oraz żonę, która bez skrupułów przeprowadziła się do zwycięzcy. Owa pani była o 23 lata młodsza od karcianego pechowca, a mały fiat kosztował wówczas „zaledwie" 65 tys. zł.

29 listopada ub. roku (rozmowa telefoniczna):

— Dzień dobry. Czy mógłbym rozmawiać z panem Adamem?

— Tak, słucham.

— Otrzymałem pański telefon od M. Powiedział, że będzie pan mógł nam pomóc w napisaniu tego reportażu.

— Nie wiem, czy tamci zgodzą się na panów obecność.

— M. mówił, że ma pan dar przekonywania.

— Spróbuję, ale niczego nie mogę obiecać. Proszę zadzwonić... powiedzmy za tydzień.

Od dawna słyszało się, że w stolicy są ludzie, którzy w wybranych mieszkaniach oddają się urokom hazardu. Wstęp do tego grona był trudny. Przede wszystkim należało wykazać się kapitałem. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych trzeba jeszcze było należeć do tzw. towarzystwa. Dorobkiewicz, który z wybudowanych szklarni uciułał pierwszy milion, był zerem nie liczącym się przy sporządzaniu listy gości. W latach osiemdziesiątych wystarczył już tylko wypchany portfel i kilka tysięcy dolarów na koncie. Prócz tego trzeba było jeszcze znać osobę, która wprowadziłaby chętnego gracza do danego towarzystwa.

5 grudnia ub. roku (rozmowa telefoniczna):

— Czy zastałem pana Adama?

— Przy telefonie. Czy możemy jutro spotkać się w „Bazyliszku"?

— O której?

— Powiedzmy o siódmej wieczorem.

Osoba, która miała nas wprowadzić do jednego z warszawskich domów gry, okazała się ostrożna. Dwa tygodnie później usłyszymy:

— Do dziś hazard uprawiany w domu prywatnym nie jest przez władzę mile widziany, a ludzie, którzy zasiadają przy zielonym stoliku nie tyle obawiają się, że mogą przegrać kilkaset tysięcy, ile, że ktoś z zewnątrz może dowiedzieć się o ich zamiłowaniu do kart czy ruletki.

Umówionego dnia do naszego stolika dosiada się około pięćdziesięcioletni mężczyzna.

— Nadal macie panowie zamiar napisać ten artykuł?

Kiwamy głowami.

ciąg dalszy na s. 14

policje świata

Japonia

Z KOMPUTEREM NA ROWERZE

W poprzednim numerze „MK 997" pisaliśmy o przestępczości w Japonii wykazując, że w porównaniu z innymi najwyżej rozwiniętymi państwami świata zachodniego nie jest ona zbyt wielka, przy czym policja japońska wyróżnia się wyjątkową wprost wykrywalnością. Przyczyn takiego stanu rzeczy upatruje się w dogodnym położeniu geograficznym kraju, w charakterze jego mieszkańców, właściwej pracy organów bezpieczeństwa i porządku publicznego.

A jednak dalekowschodnie cesarstwo odnotowało w latach osiemdziesiątych wzrost zdarzeń kryminalnych. Najdotkliwszymi plagami są dziś w Japonii rywalizujące ze sobą gangi, nadużywanie narkotyków, przestępczość młodzieży, kradzieże i wypadki drogowe.

Systemem przeciwdziałania i zwalczania przestępczości zajmuje się w Japonii policja działająca w strukturze 47 prefektur koordynowanych przez Urząd Policji przy rządzie centralnym. Ponadto istnieje Narodowy Urząd Policji, którego zadaniem jest szkolenie, prowadzenie statystyki, zapewnianie łączności i wyposażenia oraz służba rozpoznawczo-identyfikacyjna o zasięgu ogólnokrajowym.

Zwraca uwagę, że w porównaniu z innymi krajami kapitalistycznymi, policja japońska jest mniej liczna. Pod koniec 1979 roku jej kadry szacowano na około 208 tys. osób (1 policjant na 555 mieszkańców). W tym samym czasie jeden policjant w RFN przypadał na 329, w Wielkiej Brytanii — 403, a we Francji tylko na 284 mieszkańców.

Policja japońska jest dobrze wyszkolona. Kandydat na funkcjonariusza zostaje poddany egzaminowi w lokalnej prefekturze. Obok sprawności fizycznej i psychicznej sprawdza się na nim również wiedzę i zdolność myślenia. Po zaliczeniu sprawdzianu absolwent szkoły ponadpodstawowej rozpoczyna naukę na rocznym kursie policji porządkowej organizowanym przy prefekturze. Absolwent uniwersytetu przechodzi sześciomiesięczne przeszkolenie. Na obydwu typach kursu nabywają oni wiedzę ogólnopolicyjną i prawną, a także trenują judo, kendo i aikido. Ta ostatnia metoda walki służy m.in. do kształtowania charakteru i jest pomocna przy zatrzymywaniu przestępców.

Po ukończeniu kursu podstawowego kandydaci na policjantów odbywają roczną praktykę w posterunkach policji. Po jej ukończeniu... powracają do szkoły, gdzie pogłębiają umiejętności z zakresu pracy policji i techniki kryminalistycznej. Funkcjonariusz, który ukończy ten sześciomiesięczny etap przechodzi do regionalnej szkoły policyjnej, w której szkoli się na wachmistrza lub komisarza. Ten typ szkoły pozwala już na uzyskanie specjalizacji w zakresie: kryminalnym, bezpieczeństwa publicznego, kryminalistyki, kontroli ruchu drogowego, prewencji, zwalczania przestępczości nieletnich. Policjanci, którzy uzyskają po egzaminie tytuły inspektorów mogą ubiegać się o kształcenie w Narodowej Akademii Policyjnej lub w uczelniach cywilnych.

Obok systemu szkolnictwa policyjnego w Japonii obowiązują roczne programy doskonalenia zawodowego obejmujące różne kursy dokształcające. Ich zaliczenie umożliwia kolejny awans (po trzyletniej praktyce na danym stanowisku). Dopiero awans na superintendenta policji i wyższe nie podlegają egzaminom, lecz zależą od innych kryteriów: charakteru, wiedzy, predyspozycji itp.

System szkoleniowy jest więc w Japonii zawiły i uciążliwy. Odpowiada jednak charakterowi Japończyków, którzy wyróżniają się mrówczą pracowitością i odpornością, a ponadto od najmłodszych lat uczą się rywalizacji.

Aby zapewnić porządek publiczny służba prewencji policji wykorzystuje liczące wiele tysięcy tzw. domki policyjne i posterunki rozmieszczone na terenie całego kraju. Prowadzi się w nich służbę kontrolną i patrolową, tu mieszczą się również punkty informacyjne dla instytucji i obywateli. W najruchliwszych punktach miast „kioskowi policjanci" pełnią służbę w godzinach 7—19, służą radą i pomocą, poszukują zaginionych dzieci, zapobiegają wypadkom i wzywają karetki pogotowia.

Domki policyjne, zwane koban, mają kilkuosobowe załogi, które odpowiedzialne są za przydzielony im obszar. Obsadzone są z reguły policjantami mieszkającymi w okolicy, podobnie jak posterunki (z liczniejszą załogą, usytuowane przy drogach poza śródmiejskimi obszarami miast). Rejony działania posterunków są odpowiednio większe.

Z domków policyjnych i posterunków wyruszają patrole piesze, rowerowe i motocyklowe. Ich obowiązkiem jest m.in. utrzymywanie kontaktu z mieszkańcami. Policjanci ze służby prewencyjnej zobowiązani są też 2 razy w roku odwiedzić wszystkie rodziny na terenie swego działania, udzielić im niezbędnej pomocy oraz rad i wskazówek. Policjanci przechowują też rzeczy znalezione, wskazują drogę obcym osobom, zamieszczają ogłoszenia na specjalnych tablicach informacyjnych.

Policja japońska korzysta też z usług społecznych pomocników, zrzeszonych w Towarzystwie Zapobiegania Przestępczości (odpowiednik naszego dawnego ORMO). Każdemu prezydium policji terenowej odpowiada lokalny związek TZP zajmujący się głównie profilaktyką społeczną oraz reklamowaniem swej policji i apelowaniem o wsparcie jej działania. Członkami tej organizacji są także znane osobistości życia publicznego i artystycznego, które bezpłatnie występują w interesie policji. Rokrocznie też czytelnicy japońskich gazet wybierają „swojego" policjanta.

na podst. „PROBLEMÓW KRYMINALISTYKI" nr 179/88 oprac. MARCEL TABOR

USA | Francja

DYLEMATY WYWIADÓW

Dialog amerykańsko-radziecki jest kontynuowany z rozmachem, pojawiają się — po niedawnym wystąpieniu prezydenta Busha — perspektywy zmniejszenia wojskowej obecności obydwu mocarstw w Europie. Tymczasem nie wygasa cicha wojna na froncie wywiadowczym.

Jej echem był komunikat agencji TASS o skazaniu na śmierć wysokiego rangą dyplomaty radzieckiego za trwające 30 lat szpiegostwo na rzecz USA. Amerykanie potwierdzili, że skazany (nie ujawniono jego nazwiska) był jednym z najcenniejszych agentów ich wywiadu...

„Dla wywiadu każdy okres jest dobry — twierdzi Stephen Rosenfeld. — Wywiad działa jak ubezpieczenie. W epoce nuklearnej wszyscy stale będą go potrzebowali, a Stany Zjednoczone w żadnym wypadku nie mogą należeć do wyjątku".

Z kolei dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej William Webster twierdzi, że Związek Radziecki wykorzystał okres odprężenia dla rozbudowania swojej sieci agenturalnej. Jak się wydaje, aktualny szef KGB gen. Władimir Kriuczkow nie zapomniał o swej długoletniej profesji wywiadowczej. Generał Kriuczkow był zresztą w tej kwestii szczery (pisaliśmy o tym na łamach „W służbie narodu" w ubiegłym roku), podkreślił jednak, że nowe myślenie wkracza też do służb specjalnych. Zaczynają one inaczej widzieć swojego przeciwnika.

Wywiady obydwu stron zostały powołane do tego, by się zwalczać. Ale zarówno Stany Zjednoczone, jak i ZSRR mają... wspólnych wrogów. Są nimi: międzynarodowy terroryzm, handel narkotykami, niestabilność Trzeciego Świata, rozprzestrzenianie się broni nuklearnej i niebezpieczeństwo wybuchu wojny termojądrowej.

Odprężenie w stosunkach Wschód-Zachód, zwłaszcza radziecko-amerykańskich, skłoniło jugosłowiańskiego publicystę do stwierdzenia, że paradoksem jest uprawianie szpiegostwa przeciwko partnerowi, który zgodził się na ujawnienie tajnych do tej pory informacji. „Jak długo — pyta on — można będzie tolerować dwuznaczną praktykę polegającą na tym, że z jednej strony umacnia się stosunki partnerskie, a z drugiej — usiłuje się zwerbować obywateli strony przeciwnej, aby wykazując nielojalność wobec własnego kraju uprawiali szpiegostwo?"

•

Póki co, żadne z państw prowadzących aktywną politykę międzynarodową, nie rezygnuje z rozbudowy lub doskonalenia swoich służb specjalnych. Niedawno Claude Silberzahn, będący nowym szefem Generalnego Kierownictwa Bezpieczeństwa Zewnętrznego (DGSE) oświadczył na łamach „Le Monde", że francuskie służby wywiadowcze chcą zwerbować dodatkowo 400—500 agentów za granicą.

Owa wywiadowcza ekspansywność idzie w parze z doskonaleniem techniki, szkolenia itp. czynników niezbędnych dla zwiększenia efektywności działania DGSE. Problemowi temu służy pięcioletni program umacniania wywiadu.

Personel tej służby liczy we Francji około 3 tys. osób (w tym 1100 wojskowych). Jej budżet w roku bieżącym — 756,8 mln franków. Ponadto na potrzeby służb specjalnych przeznaczane są dodatkowe środki, gdy wypełniają one operacje na zamówienie rządu.

Wywiad francuski zdobywa i gromadzi informacje dyplomatyczne, wojskowe i ekonomiczne, przy czym głównie te pierwsze. Wywiad dyplomatyczny to analizowanie linii politycznej poszczególnych państw, ich sytuacji wewnątrzpolitycznej, prognozowanie ewentualnych kryzysów, perspektyw poszczególnych działaczy politycznych.

DGSE działa skutecznie w Afryce, nieźle w basenie Morza Śródziemnego, „uczciwie" — jak określił to C. Silberzahn — w Europie Wschodniej, słabiej w Azji i najgorzej na kontynencie amerykańskim.

oprac. (M)

Wielka Brytania

WZROST UPRAWNIEŃ

Od 1 stycznia 1986 r. obowiązuje nowy kodeks postępowania policji Wielkiej Brytanii zezwalający m.in. na: zatrzymywanie osób i przeszukiwanie samochodów (przy podejrzeniu o kradzież), zatrzymywanie i poddawanie rewizji osobistej podejrzanych o posiadanie broni, narkotyków, narzędzi włamań. Uproszczono i rozszerzono prawo policji do dokonywania aresztowań bez nakazu sędziów, wprowadzono prawo do przetrzymywania w areszcie bez oskarżenia do 24 godzin. Przy przedłużeniu do 36 godz. wymagana jest zgoda inspektora policji, a o dalsze 36 godz. akceptacja dwóch sędziów. Powyżej 96 godz. wymagana jest decyzja sądu.

kirz.
rys. W. Fuglewicz

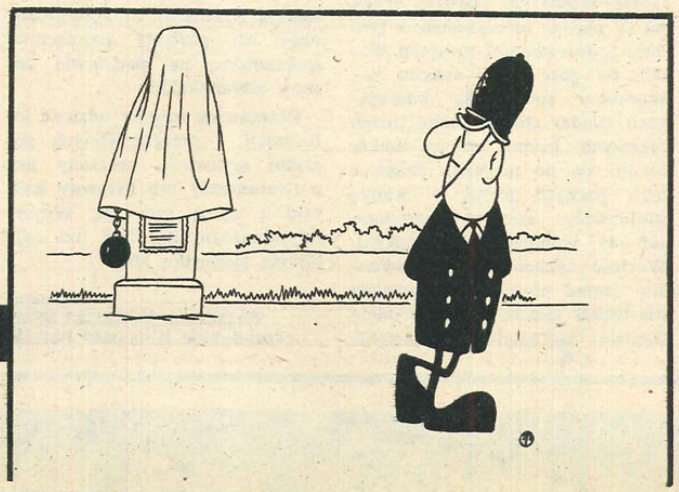

Szwecja

PRZESTĘPSTWO I PRAWO W SZWECJI

Najważniejsze przepisy regulujące zasady współżycia społecznego i stosunki między ludźmi w Szwecji ujęte są w formie ustaw wydawanych przez parlament (riksdag). W miarę zmian zachodzących w społeczeństwie i przyjętym systemie wartości zmienia się stare zasady lub zastępuje się je nowymi przepisami. Do tradycyjnych przestępstw także w Szwecji należą np. kradzież i przemoc, do nowszych — zaliczyć można np. naruszenie przepisów drogowych, działanie wbrew przepisom o narkotykach oraz różne przestępstwa gospodarcze.

Podobnie jak w innych krajach także w Szwecji obserwuje się w ostatnich latach wzrost przestępczości. Najbardziej wzrasta ona wśród młodzieży, której grupa wiekowa od 15 do 17 lat popełnia dziś w Szwecji około 15 razy więcej przestępstw niż w 1920 roku.

Środowisko, w jakim wzrastają i wychowują się dzieci i młodzież, ma poważny wpływ na ich zachowanie się w przyszłości. Ważna rola przypada zatem wszystkim, którzy odpowiedzialni są za organizację czasu wolnego młodzieży, za zdobycie przez nią zawodu, a potem za znalezienie pracy. Policja rozwija działalność zmierzającą do zapobiegania przestępstwom organizując m.in. odczyty w szkołach i związkach młodzieżowych.

SKUTKI PRZESTĘPSTWA

Policja podejmuje postępowanie w sprawie o przestępstwo w wyniku zgłoszenia faktu jego popełnienia. W poważnych sprawach — podobnie jak w Polsce — dochodzeniem kieruje oskarżyciel, w innych sprawach — policja. Tymczasowe aresztowanie podejrzanego, które nie może przekraczać 5 dni, zarządza oskarżyciel. Z uwagi na ważkość sprawy może on również zwrócić się do sądu o wydanie nakazu aresztowania. W tym przypadku oskarżyciel obowiązany jest wszcząć proces w ciągu 14 dni. Jeżeli w tym czasie nie zdąży zakończyć dochodzenia, sąd ponownie bada, czy zatrzymanie podejrzanego w areszcie jest zasadne. Zarówno sąd, jak oskarżyciel mogą wydać zakaz wyjazdu za granicę bądź oddalania się poza miejsce zamieszkania.

W przypadku przestępstw zagrożonych karą grzywny, oskarżyciel może zrezygnować z wniesienia sprawy do sądu, co umożliwia oskarżonemu uniknięcie sprawy sądowej, wskutek wcześniejszego uiszczenia tej opłaty.

PRZESTĘPCZOŚĆ NIELETNICH

Pomimo wysokiego wskaźnika przestępczości nieletnich, szwedzki kodeks zwalnia od odpowiedzialności karnej małoletnich poniżej 15 roku życia. Przestępcami tymi zajmują się w Szwecji organy opieki społecznej.

Nieletni w wieku 15—17 lat mogą być sądzeni, jednak w praktyce zdarza się to rzadko. Stają oni przed sądem najczęściej wtedy, gdy popełnią przestępstwo, używając gwałtu lub naruszą przepisy drogowe.

KOMISJE SOCJALNE

Pomocy nieletnim i ich rodzinom udzielają komisje do spraw socjalnych składające się z działaczy politycznych. Znajdują się one w każdej gminie i decydują, jakie środki wychowawcze należy zastosować wobec niepełnoletniego przestępcy. Komisja może przydzielić mu doświadczonego opiekuna lub wyjąć go spod opieki rodziny i umieścić na jakiś czas w tzw. rodzinie zastępczej. Nieletni, który popełnił poważniejsze przestępstwo, względnie nadużywa narkotyków, może zostać trwale zabrany z domu rodzinnego i umieszczony w rodzinie zastępczej. Od 1982 roku decyzje w takich sprawach wydaje wojewódzki sąd administracyjny.

PRZESTĘPSTWA

Podstawowe przepisy prawa dotyczące przestępstw ujęte są w kodeksie karnym. Pewne ich grupy, jak np. naruszenie przepisów drogowych i przestępstwa podatkowe zawierają odrębne ustawy. Zabronione przez prawo czyny stanowią w Szwecji przykładowo: bezprawne prześladowanie (dyskryminacja), kradzież, ale też drobna kradzież (np. wyniesienie ze sklepu towaru nawet małej wartości), zatrzymanie dla siebie rzeczy znalezionej ((powinna być oddana na posterunek policji), przestępstwa przeciw przepisom o narkotykach (zakaz obejmuje ich przywożenie do Szwecji, wyrabianie, sprzedaż i posiadanie), opór wobec funkcjonariusza, bicie dzieci (zakaz dotyczy stosowania kary cielesnej, pogróżek bądź innych upokarzających kar), znęcanie się nad kobietami i gwałt, oszustwo (za które uznaje się m.in. pobieranie dodatku mieszkaniowego lub zasiłku chorobowego na podstawie udzielenia nieprawdziwych informacji), przestępstwa gospodarcze (dotyczą m.in. przedsiębiorców, kupców, właścicieli restauracji, którzy nie płacą podatków bądź opłat socjalnych za swoich pracowników), karalne jest również niezgodne z prawdą deklarowanie dochodów, a także łapownictwo (za które uważane jest także przyjmowanie łapówek w formie prezentów, które mogą wpłynąć na sposób załatwienia sprawy; kara obejmuje przy tym zarówno przyjmującego prezent, jak i obdarowującego).

POLICJA

Głównym zadaniem policji szwedzkiej jest utrzymanie porządku i bezpieczeństwa. Nadzoruje ona np. ruch na drogach i zapewnia ludziom ochronę. Policja prowadzi dochodzenia mające na celu wyjaśnienie okoliczności popełnienia przestępstwa oraz wykrycie sprawcy. Zajmuje się też działalnością zapobiegawczą oraz świadczy pewne usługi na rzecz obywateli, np. wydawanie rozmaitych zezwoleń i zaświadczeń, przechowywanie rzeczy znalezionych itp.

W przypadku niewłaściwego potraktowania obywatela przez jakikolwiek urząd bądź funkcjonariusza (także policjanta) przysługuje każdemu prawo złożenia skargi do rzecznika praworządności (Justitieombudsman). Urząd ten (JO) nie ma prawa zmienić zaskarżonej decyzji, może jednak spowodować ponowne rozpatrzenie sprawy i zmianę postanowienia.

Kontrolę praworządności działania i należytego wykonywania obowiązków funkcjonariuszy wszelkich urzędów sprawuje także doradca prawny rządu (Justitiekansler). W przeciwieństwie do JO działającego w imieniu riksdagu (parlamentu, JK występuje jako naczelny rzecznik rządu. Nadzoruje on m.in. przestrzeganie przepisów o wolności druku i wolności słowa.

oprac. ELŻBIETA WRÓBEL

MANIFESTACJE POLICJANTÓW

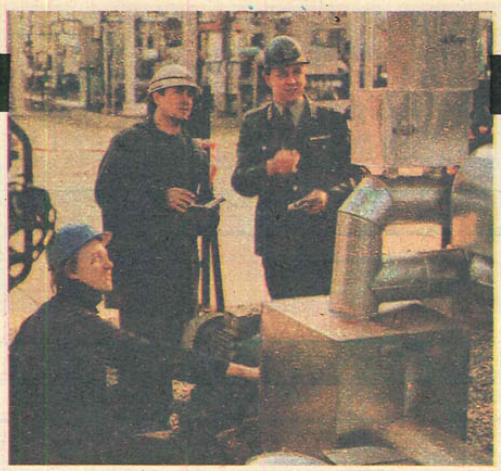

NRD

Policjanci ludowi NRD manifestowali niedawno we wszystkich większych miastach domagając się demokratyzacji swoich oddziałów i uznania niedawno utworzonego związku zawodowego. Obradujący w Poczdamie „policyjny okrągły stół" wysunął postulat, by policjanci uzyskali status „urzędników tak jak inni".

Przed ratuszem w Berlinie Wschodnim mówcy żądali przyjęcia przez Izbę Ludową ustawy o związkach zawodowych; grozili solidaryzowaniem się z ewentualnymi uczestnikami strajku powszechnego, jeśli nie uzyskają zadośćuczynienia. Zwołane przez organizację związku zawodowego policji ludowej w Halle manifestacje domagały się również lepszej ochrony socjalnej i poprawy warunków pracy.

W Berlinie Wschodnim około 3 tys. policjantów i strażaków przemaszerowało przy dźwięku syren pojazdów do ratusza. Związek zawodowy policjantów powstał w połowie stycznia, ale działa bez legalizacji.

Manifestanci protestowali też przeciwko złej renomie wśród obywateli, nieśli transparenty mówiące: „Kripo" (policja kryminalna) to nie „Stasi" (tajna policja), „Policja Ludowa to również naród", „Wasza policja: zieloni (kolor mundurów) przeciwko brunatnym (neofaszystom)" lub „My jesteśmy urzędnikami tak jak inni".

B

W SZKOLE PODOFICERSKIEJ

Węgry

— Dopiero od kilku lat szkolimy dziewczęta — mówi ppłk dr János Simon, komendant szkoły podoficerskiej milicji w Budapeszcie — i inicjatywa ta okazała się słuszna. Są pilniejsze od chłopców, a jednocześnie wywierają na nich pozytywny wpływ: nie klną, są wzajemnie życzliwsi, chcą imponować dziewczętom.

Nauka w szkole podoficerskiej rozpoczyna się 7-miesięcznym kursem teoretycznym, po którym następuje 3-miesięczna praktyka. Egzamin końcowy zdaje się we wrześniu, prymusi uzyskują awans na wyższy stopień. 19-letni młodzian może więc być napotkanym na ulicy starszym sierżantem.

Odsiew w szkole jest niewielki, gdyż tryb życia adeptów nie odbiega w zasadzie od dotychczasowego: tu także trzeba się uczyć. Ponieważ w trakcie nauki otrzymują 6—7 tysięcy forintów pensji, wielu z nich uważa, że trudno o lepszą pracę. Większość to kawalerzy, zakwaterowani w szkole, więc póki co, chcą poznać życie Budapesztu.

— Czy wstąpiłby pan do milicji, gdyby miał znowu osiemnaście lat? — pyta dziennikarz 43-letniego rozmówcę, który ma za sobą dwadzieścia lat służby.

— Nie wiem. Wbrew obiegowej opinii niewiele tu atrakcji dla młodych. Charakterystyczne, że z rodzin milicyjnych pochodzi zaledwie 6—7 proc. kandydatów. Po egzaminie, już z dodatkiem terenowym, mogą zarobić w komisariacie 7- 8 tysięcy forintów. Raport o mieszkanie składać mogą tylko ci, którzy już założyli rodzinę i co najmniej dwa lata pracują w resorcie. Po odczekaniu 4—5 lat mogą otrzymać rotacyjny pokój, gdzie będą mieszkać dalsze trzy lata do uzyskania własnego mieszkania. Kto wynajmuje mieszkanie na mieście, dostaje do pensji 600—200 forintów. Najgorzej jest trafić do hotelu, gdzie mieszkają także starsi, najczęściej rozwiedzeni i wysłużeni milicjanci.

A jacy właściwie są ci młodzi? István Rojtmar, na przykład jest rozsądny i poważny. Na maturze uzyskał średnią 4,3. Nie zdawał na studia.

— Chcę być dobrym milicjantem. Takim, którym nie wysługuje się obywatel, ale i przełożony. Dlaczego nie można dobrze wykonywać tego zawodu? W każdym razie mnie knajpiarz nie przekupi, a jak będzie trzeba, przeciwstawię się nawet przełożonemu, jeśli nie będzie postępował zgodnie z prawem.

Erzsébet Kelmen wybrała karierę milicyjną pomimo wzorowej matury i przyjęcia na studia cywilne.

— W 1987 roku jeszcze nie można było od razu zdawać do szkoły oficerskiej, więc muszę wspinać się szczebel po szczeblu. Zostałam milicjantką, bo nie jest to zwykły dla kobiety zawód, a ja zawsze lubiłam nietypowe zajęcia. Oczywiście nie zrezygnowałam z wyższych studiów.

Zdaniem komendanta osiemdziesiąt procent słuchaczy jest tak młodych, że dopiero po szkole, w miejscu pełnienia służby, zmienią się nieco pod wpływem zewnętrznych warunków, w większości przypadków, niestety, nie na lepsze.

Tymczasem poznają wiadomości z zakresu bezpieczeństwa publicznego, ruchu drogowego, prawa karnego i administracyjnego oraz nauk społeczno-politycznych. Ten ostatni przedmiot jeszcze dwa lata temu nosił nazwę „marksizmu-leninizmu" i odpowiadał zakresem programowi wieczorowej partyjnej szkoły średniej. To już przeszłość. Dziś poznają nowe przepisy prawa i codzienne wiadomości polityczne. Biblia i dzieła zebrane Lenina są w bibliotece na takich samych prawach.

Po zakończeniu szkolenia teoretycznego młody milicjant trafia na ulicę dla zdobycia praktyki. Czasami nawiązuje przy tym kontakt z prostytutkami, albo zostaje stałym bywalcem jakiejś knajpy. Aby tego uniknąć, komendant szkoły zezwolił na spotkania z dziewczętami w pomieszczeniach klubowych, gdzie posłuchać mogą muzyki i potańczyć. Choć bez pełnej swobody, nie ma w tej szkole odizolowania ani wojskowego drylu.

na podst. magazynu „Reform"
oprac. ELŻBIETA WRÓBEL

Z historii policji

3

OD MILICJI DO POLICJI

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości układ służb bezpieczeństwa i porządku publicznego przypominał wielobarwną, skomplikowaną mozaikę. Jako struktury lokalnych organów samorządowych funkcjonowały straże obywatelskie i milicje komunalne. Dodatkowe siły powoływały niektóre resorty: Ministerstwo Kolei — Straż Kolejową, a Ministerstwo Robót Publicznych — Straż Rzeczną. Tereny wschodnie kraju pozostawały w domenie żandarmerii.

Latem 1918 r. w przywódczych kręgach PPS odżyły pomysły powszechnego uzbrojenia ludu. Jesienią zaowocowały one utworzeniem na obszarach byłej okupacji austriackiej, Milicji Ludowej — PPS, jako organizacji bojowej. Jednakże w komendzie tej formacji wyodrębniono wydział śledczy oraz komórki do walki z paserstwem i bandytyzmem.

Odrębne ugrupowanie o nazwie. Milicja Ludowa jako strukturę czysto policyjną powołało ministerstwo spraw wewnętrznych gabinetu Jędrzeja Moraczewskiego. Zawiązywały się również reprezentacje policyjne sił prawicowych: Straż Narodowa i Straż Bezpieczeństwa Publicznego.

Głównym ośrodkiem ML-PPS stał się Lublin. Do służby przyjmowano głównie robotników i chłopów rekrutujących się spośród członków partii robotniczych lub Polskiej Organizacji Wojskowej. W połowie listopada milicja liczyła ponad 300 doskonale uzbrojonych ludzi. Niebezpieczeństwo wynikające z dynamicznego rozrostu organizacji na całym terytorium byłej Kongresówki zmusiło J. Piłsudskiego do przeciwdziałania. Dekretem z 5 grudnia 1918 r. Milicję Ludową upaństwowiono i podporządkowano ministerstwu spraw wewnętrznych. Rząd wyznaczył na jej komendanta kpt. Ignacego Boernera „Emila" ze Sztabu Generalnego. Otrzymał on od J. Piłsudskiego tajną instrukcję „sformowania pod etykietą Milicji Ludowej zespołu zbrojnego z partyjnych bojówek wszelkich odcieni. Organizacja ta miała również wchłonąć w swe szeregi różnorodne elementy ochotnicze o ciemnej mniej lub więcej przeszłości, posiadające broń po okupantach. (...) Połączenie ich miało na celu ujawnienie, kontrolę i kierownictwo częstokroć zbyt wybujałymi indywidualnościami w tej sferze. Ignacy Boerner otrzymał od naczelnego wodza rozkaz rozbrojenia swych podkomendnych w ciągu pół roku, po czym elementy odpowiednie miały być wcielone do wojska regularnego, reszta zaś ulokowana w więzieniach lub pozbawiona broni".

Wykonanie owych dyrektyw sprawiło, iż siły i znaczenie ML sukcesywnie spadało. W czerwcu 1919 r. okólnik MSW zawiadamiał o likwidacji milicji z dniem 1 lipca. Jej członkowie po złożeniu pisemnych podań mogli być przyjmowani do policji komunalnych.

W Warszawie, po rozbrojeniu okupantów, Prezydium Policji oraz Urząd Kryminalny przeszły w ręce Milicji Miejskiej. Oprócz niej działały ugrupowania Milicji Ludowej, żandarmerii, Straży Rzecznej i Straży Kolejowej oraz endecka Straż Narodowa. Między nimi częstokroć dochodziło do sporów, zatargów kompetencyjnych, a nawet potyczek.

23 listopada na stanowisko prezydenta policji w stolicy (mimo iż policja formalnie nie istniała) wyznaczono działacza Milicji Miejskiej, Henryka Werdęskiego. Jego głównym zadaniem miała być likwidacja urzędu generał-gubernatorstwa. Równocześnie powołano Inspektora Policji Kryminalnej z personelem wywodzącym się spośród Polaków zatrudnionych w byłym niemieckim prezydium policji.

9 stycznia 1919 r. ukazał się dekret inicjujący procesy unifikacji służb bezpieczeństwa i porządku publicznego. Na ziemiach byłego Królestwa Polskiego przewidywano powstawanie policji komunalnych podporządkowanych władzom lokalnym, ale podlegających jednocześnie nadzorowi państwa, sprawowanemu przez Naczelną Inspekcję Policji Komunalnej. Dotychczasowe milicje miejskie i Lubuską Żandarmerię Krajową przemianowano w oddziały policji komunalnej. Wkrótce utworzono stanowisko komendanta głównego policji i rozpoczęto prace nad ustawą o policji.

W trakcie debaty sejmowej starły się dwie koncepcje. Jedna przewidywała powołanie policji jako jednolitego organu rządowego, druga preferowała istnienie oddzielnych formacji policyjnych związanych z organami samorządu terytorialnego. Przeważyła opcja pierwsza z pewnym uwzględnieniem argumentów strony przeciwnej.

Zgodnie z ustawą o Policji Państwowej, uchwaloną 24 lipca 1919 r., wszystkie jednostki milicji, straży oraz policji komunalnych podlegały rozwiązaniu. W to miejsce stanowiono policję jako organ wykonawczy władz państwowych i samorządowych w zakresie ochrony bezpieczeństwa i porządku publicznego.

Policję podległą MSW zorganizowano i szkolono na wzór wojskowy. Strukturę jej przystosowano do podziału administracyjnego kraju. Rolę organu centralnego odgrywała Komenda Główna. Pierwszym komendantem głównym mianowano Władysława Henszela, a jego zastępcą — Mariana Borzęckiego. Ponadto utworzono sześć komend okręgowych: warszawską, łódzką, kielecką, lubelską, białostocką i dla miasta stołecznego Warszawy, przy których urządzono komórki śledcze. Jednostki niższego rzędu stanowiły komendy powiatowe, komisariaty (w większych miastach lub dzielnicach dużych miast) oraz posterunki w gminach.

Ustawa przewidywała podział funkcjonariuszy na wyższych w liczbie 723 i niższych — 27 447. Do wyższych szarż zaliczano komendanta głównego PP, komendantów okręgowych i powiatowych, komisarzy i naczelników urzędów śledczych oraz wszystkich zastępców wymienionych. Do drugiej grupy przynależeli: starsi posterunkowi i posterunkowi oraz przodownicy i starsi przodownicy. W prerogatywach i obowiązkach zrównano policjantów z urzędnikami i innymi funkcjonariuszami państwowymi.

Warunkiem przyjęcia do służby było obywatelstwo polskie, wiek 22—45 lat, „wzrost odpowiedni", dobry stan zdrowia oraz „znajomość języka polskiego w piśmie i mowie oraz umiejętność liczenia".

Objęcie wyższych stanowisk wymagało wykształcenia średniego, a począwszy od funkcji zastępcy komendanta okręgowego — studiów wyższych. Wszystkich funkcjonariuszy obowiązywało ponadto ukończenie specjalnego przeszkolenia resortowego. Nominację na stałe poprzedzała służba przygotowawcza trwająca 6 miesięcy. Nowo wstępujący składali przysięgę, której rota brzmiała: „Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu na powierzonym mi stanowisku pożytek Państwa Polskiego oraz dobro publiczne mieć zawsze przed oczyma, obowiązki swoje spełniać gorliwie i sumiennie, rozkazy i polecenia swoich władz wykonywać dokładnie, tajemnicy urzędowej dochować, przepisów prawa strzec pilnie, wszystkich Obywateli w równym mając zachowaniu. Tak mi Boże dopomóż".

ADAM K. PODGÓRSKI

oprac. na podst. A. Abramski, J. Konieczny. „Justycjariusze, hutmani, policjanci". Katowice 1987 oraz „Rok 1918 we wspomnieniach mężów stanu, polityków i wojskowych". Warszawa 1987.

2

26 maja 1980 roku wywiadowca KD MO Warszawa Praga-Południe sierż. Jan Wocial dokonywał zakupów w Domach Towarowych „Centrum". Kiedy wyszedł na ulicę zatrzymał go jeden z informatorów, który wyszeptał zdenerwowanym głosem: „Maliszewski, patrz pan". Tego nazwiska nie trzeba było powtarzać milicjantowi. Podobizna zbiega z zakładu karnego była znana wszystkim funkcjonariuszom w Polsce z powtarzanych co kilka tygodni fotokomunikatów.

Patrząc we wskazanym kierunku sierż. Wocial zobaczył mężczyznę, który spokojnym krokiem zmierzał do „Sawy". Nim milicjant dotarł do drzwi domu towarowego, przeznaczonych dla personelu, usłyszał tylko kroki wbiegającego na schody. Funkcjonariusz zatrzymał się, nie bardzo wiedząc co powinien zrobić. Iść na górę? A może zostać na dole? Po chwili milicjant usłyszał, że Maliszewski zatrzymał się i zaczął schodzić na dół. Kiedy sierż. Wocial zobaczył go z bliska, stwierdził, że nie jest podobny do mężczyzny utrwalonego na zdjęciach kilkunastu fotokomunikatów. Miał okulary, gęsty zarost, odmienne uczesanie. Nie bardzo przekonany o słuszności swojej decyzji milicjant zatrzymał nieznajomego prosząc o dowód osobisty. Legitymowany uśmiechnął się i z obojętnym wyrazem twarzy sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Podał dowód osobisty. Wystawiony był on na nazwisko Bogdana Głowackiego. Mężczyzna ze zdjęcia na pierwszy rzut oka podobny był do stojącego przed funkcjonariuszem. Starając się stłumić wzrastające napięcie sierż. Wocial poprosił nieznajomego, by wraz z nim udał się do pobliskiego komisariatu. „Wie pan — powiedział wówczas — właściwie wszystko jest w porządku, ale mam obowiązek sporządzić notatkę i pobrać od pana oświadczenie, że nie ma pan do mnie żadnych pretensji o bezzasadne legitymowanie". Zatrzymany przystał na prośbę milicjanta. Ruszyli do wyjścia. Kiedy dochodzili do drzwi, Jerzy Maliszewski nieoczekiwanie odwrócił się do funkcjonariusza. W ręku miał pistolet: „Zginiesz ty skurwysynie". Padł strzał. Maliszewski rzucił się do ucieczki. Milicjant chwycił się za brzuch. Wybiegł za uciekającym na pasaż. Po przestępcy nie było już śladu.

Rannego milicjanta odwieziono karetką do szpitala. Równocześnie postawiono na nogi milicję całej Warszawy. Poddano kontroli dworce, przystanki tramwajowe i autobusowe. Zorganizowano natychmiastowe sprawdzenie wszystkich melin Śródmieścia i przylegających doń dzielnic. Nadaremnie. Maliszewski rozpłynął się jak kamfora. Mimo to jeszcze przez 48 godzin prowadzono intensywne działania poszukiwawcze. Również bez rezultatu.

Od tego momentu, pamiętając o rutynie, inteligencji połączonej z fantazją, jak też bezwzględności i kalkulowaniu każdej sytuacji na zimno, Maliszewskiego zaczęto nazywać „Kaskaderem".

27 maja 1980 roku, kiedy było już jasne, że poszukiwania nie przyniosą rezultatu, dyrektor Biura Kryminalnego KG MO zwołał u siebie naradę, w której wzięli udział: zastępca komendanta stołecznego MO, naczelnicy wydziałów Kryminalnego i Poszukiwań, Informacji i Rozpoznania KS MO, naczelnicy właściwych wydziałów Biura Kryminalnego oraz najlepsi specjaliści posiadający duże doświadczenie w poszukiwaniu niebezpiecznych przestępców. Podczas narady omówiono najbliższe zadania KS MO, komend wojewódzkich i Biura Kryminalnego. Zarządzono poszukiwania ogólnokrajowe.

W trzy miesiące później jeden z obywateli zawiadomił dyżurnego pogotowia MO, że zaledwie kilka minut wcześniej, kiedy jechał jedną z ulic Mokotowa, został zatrzymany

przez nieznanego mężczyznę. Kiedy stanął, tamten przystawił mu do głowy pistolet i zażądał pieniędzy, dokumentów i kluczyków do samochodu. Obawiając się napastnika zatrzymany spełnił wszystkie żądania. Fiat odjechał w nieznanym kierunku. Napastnik — stwierdził pokrzywdzony — wyglądał jak Maliszewski (jego fotografię widział w gazetach).

Zarządzono akcję poszukiwawczą i zablokowano mokotowskie ulice. Po jedenastu minutach od momentu zgłoszenia napadu radiowozy milicyjne osaczyły uciekiniera w okolicy ulicy Tureckiej. Napastnikiem okazał się jednak ktoś inny.

Poszukując niekonwencjonalnych metod trafienia na ślad ukrywającego się przestępcy, postanowiono skorzystać z możliwości, jakie daje parapsychologia. Największym jej autorytetem był wówczas w kraju dr Andrzej Klimuszko. Rozmowę z parapsychologiem przeprowadzono 10 lipca 1980 roku w Lubomierzu. Po okazaniu fotografii Jerzego Maliszewskiego Andrzej Klimuszko stwierdził, że widniejący na zdjęciu mężczyzna jest „groźnym i niebezpiecznym przestępcą". Wyjaśnienia, których następnie udzielił, mo-

jacy ludzie bywają w jej domu, gdzie pracuje i co robi w pracy. Ponieważ podczas swojego pobytu w więzieniu Jerzy Maliszewski bardzo boleśnie odczuł rozwód, zachodziła obawa, że w grę może wchodzić krwawa zemsta. W tym stanie rzeczy zdwojono czujność wokół kobiety, otaczając ją dyskretnym pierścieniem ochronnym. Liczono zarazem, że właśnie w ten sposób przestępca wpadnie w ręce milicji. Niestety mężczyzna ten nigdy już nie pojawił się na horyzoncie. Również w tamtych dniach próbowano sprowokować Maliszewskiego do nawiązania kontaktu z rodziną. Oto postanowiono wyemitować przez radio komunikat: „Jerzy Lulek proszony jest o nawiązanie kontaktu w Zborowie". Słuchający tego komunikatu przestępca szybko skojarzyłby, że informacja ta skierowana jest do niego, „Lulek" bowiem było imieniem, którym w dzieciństwie nazywano Maliszewskiego.

Kolejny kierunek wskazywał, że ważną cechą, na której podstawie można zidentyfikować zbiega, jest fakt, że cierpi on na łuszczycę. Choroba ta wymagała stałego leczenia i stosowania specyficznych maści wykonywanych przez apteki na zlecenie dermatologa. Mimo że lekarzy, jak i aptek, które mogły w Polsce realizować takie recepty było wiele, nie zrezygnowano z tak przyjętego kierunku poszukiwań.

W czerwcu 1980 roku w pociągu relacji Warszawa—Poznań zatrzymano mężczyznę (podobnego do zbiega), na którego twarzy widniały charakterystyczne ślady schorzenia. Mimo że i tym razem nie był to Maliszewski okazało się, że zatrzymany mężczyzna jest innym groźnym przestępcą od miesięcy poszukiwanym przez milicję całego kraju.

KASKADER

PAWEŁ SZLACHETKO

żna było podzielić na dwie grupy. W pierwszej padało stwierdzenie: „Maliszewski jest osobnikiem zdeprawowanym i zdolnym do wszystkiego". Taką informację każdy mógł przeczytać w prasie, dla przedstawicieli Biura Kryminalnego KG MO nie było to nowością. Dalsze słowa były jednak dla funkcjonariuszy zaskoczeniem. Klimuszko stwierdził, że „poszukiwany jest rozwiedziony, a z byłą żoną nie utrzymuje kontaktów i ona o nim nic nie wie. Niedawno zmarł również ojciec przestępcy". O tych faktach wiedziała wówczas jedynie milicja. Dalej parapsycholog powiedział, że poszukiwania zbiegłego więźnia „będą trwały pięć lat, a może pięć miesięcy lub pięć dni. Jego ujęciu będą towarzyszyły nadzwyczajne wydarzenia i zginie w nich wiele osób". Jak dowiodła przyszłość prawdziwe było stwierdzenie Klimuszki, że Maliszewski przebywa w trójkącie Konin—Włocławek—Bydgoszcz.

W tym samym czasie Biuro Kryminalne KG MO ustaliło sześć podstawowych kierunków poszukiwań. Każdy z nich rozpracowywał wybrany zespół milicjantów, co zapobiegło dublowaniu wykonanych już prac poszukiwawczych.

Pierwszy zakładał, że Jerzy Maliszewski ukrywa się u kogoś ze swoich bliskich znajomych. Ponieważ swoich ludzi miał on prawie w 39 województwach, ustalono szczegółowy plan działań, by sprawdzić słuszność powyższej wersji. Wielokrotnie wydawało się, że finał pogoni jest bliski. Oto w Warszawie na stadionie sportowym zatrzymano mężczyznę, który nie posiadał przy sobie żadnych dokumentów, a był łudząco podobny do zbiegłego więźnia. Innym znów razem na południu Polski zatrzymano w pobliżu leśnego bunkra człowieka, który oświadczył załodze radiowozu, że jest Jerzym Maliszewskim. Dopiero ekspertyza daktyloskopijna wykluczyła taką możliwość.

Kierunek drugi zakładał, że Maliszewski ukrywa się u swojej bliższej bądź dalszej rodziny. Powyższa hipoteza potwierdziła się w przyszłości całkowicie.

Już w pierwszych dniach czerwca 1980 roku ustalono, że bliżej nieznany mężczyzna, który starannie się maskował, próbował zdobyć informacje o byłej żonie Maliszewskiego. Najbardziej interesowało go to, czy kobieta wyszła za mąż,

Kierunek czwarty zakładał, że Jerzy Maliszewski jest całkowicie odizolowany od swoich poprzednich kontaktów ze światem przestępczym. Związał się natomiast ze światem przemytników i handlarzy dewizami, fałszerzami paszportów i dowodów osobistych. Oczywiście łatwo zrozumieć, że tak zakładana hipoteza miała związek z podejrzeniami, że Jerzy Maliszewski zamierza nielegalnie przekroczyć granicę państwa.

9 czerwca 1980 r. uzyskano informację, że przed rokiem uciekinier zdobył dwa dowody osobiste opatrzone sfałszowanymi danymi. Dowody te były tak dobrze podrobione, że istniało duże prawdopodobieństwo, że Maliszewski wyjeżdżał do krajów socjalistycznych — na Węgry i do Bułgarii. Tam podobno wszedł w kontakt z przedstawicielami międzynarodowych przemytników, którzy mieli przerzucić go na Zachód. Po powrocie do kraju Maliszewski jakoby podjął starania o zdobycie fałszywego paszportu, za który zamierzał zapłacić 800 dolarów USA. Jednocześnie wywiadowcy milicyjni zdobyli informację, że Maliszewski zamierza zabrać ze sobą dużą partię srebra, które w tamtych latach było wysoko wyceniane na zagranicznych rynkach. Czy było to prawdą? W latach 1979—1980 na terenie Warszawy oraz innych miast Polski zanotowano niebywały wzrost kradzieży srebra. Z dnia na dzień rosła też liczba informacji operacyjnych, które potwierdzały fakt nawiązania przez Maliszewskiego kontaktów z przemytniczym podziemiem.

Milicjanci ustalili, że 6 lipca 1980 roku Maliszewski spotkał się z jednym z władców podziemia Warszawy prosząc o pomoc w szybkim zdobyciu paszportu. Podczas rozmowy miał jakoby stwierdzić, że posiada znaczne ilości srebra i za paszport gotów jest zapłacić każdą cenę. Wówczas też miał powiedzieć: „Podczas spotkania z psem w domach towarowych miałem rozkalibrowany pistolet i do dziś żałuję, że nie wymierzyłem psu w łeb, gdyż byłaby to czysta robota". Oświadczył też, że charakterni koledzy „podrzucili mu P-64 i odtąd nikt już nie weźmie go żywcem, gdyż będzie strzelał bez ostrzeżenia".

Kierunek piąty bazował na przypuszczeniu, że poszukiwany ukrywa się w melinach zlokalizowanych w Warszawie lub na jej obrzeżach. Stąd podczas poszukiwań uważnie kontrolowano miejsca spotkań świata przestępczego. Łącznie na terenie stolicy oraz innych miast przeszukano 28 tysięcy melin. Najdokładniej przeczesano Warszawę, gdzie sprawdzono 10 tysięcy tego typu miejsc. W końcowej fazie poszukiwań milicja skoncentrowała swoją uwagę na ujawnianiu melin dotąd nie znanych organom ścigania. I dopiero tu natrafiono na ślady pobytu Maliszewskiego. Niektóre z nich były sprzed kilku tygodni, inne sprzed wielu miesięcy. Wówczas też okazało się, że Maliszewski po zmianie wyglądu spokojnie spaceruje ulicami Warszawy.

Przy tej okazji warto wspomnieć o kontaktach przestępcy z płcią piękną. Większość informacji, które mówiły o Maliszewskim zawierały również wiadomości o jego ówczesnych kochankach. Większość z nich legitymuje się „dobrą twarzą" i nie była nigdy w kręgu zainteresowań organów ścigania. Żadna z nich nie uprawiała prostytucji, wszystkie miały stałe miejsca zamieszkania i pracowały.

Ostatni kierunek poszukiwań zakładał, że miejsce ukrywania się przestępcy będzie można ustalić na podstawie prześledzenia okoliczności wszystkich przestępstw, których dokonał on po ucieczce z konwoju. W tym celu zespół rozpracowujący to zagadnienie rozpoczął ustalanie wspólników, wraz z którymi dokonał licznych przestępstw, oraz adresów ich zamieszkania. Przypuszczano, że po zatrzymaniu któregoś z nich będzie można ustalić miejsce ukrywania się Jerzego Maliszewskiego.

W połowie czerwca 1980 roku każdy trop, na który wówczas trafiała milicja był stary albo nieaktualny. Informacja docierająca do organów ścigania zawsze była spóźniona o rok, miesiąc, a nawet kilka godzin. W polskim świecie przestępczym Jerzy Maliszewski stał się legendą, człowiekiem, który bezkarnie może drwić z aparatu ścigania.

cdn.

KRYMINAL-TANGO

Nieobce są nam – reporterom „MK 997" – widoki ciał zamordowanych, oblicza więźniów i katów. Lecz widok Jerzego M. w szpitalu praskim wprawił nas w przerażenie. Na łóżku szpitalnym leżał człowiek tak potwornie zmasakrowany, że aż trudno było uwierzyć, że żyje. Miał połamane ręce, nogi, żebra, zmiażdżone jądra, a twarz stanowiła jedną, wielką ranę. Całe ciało pokryte było siniakami.

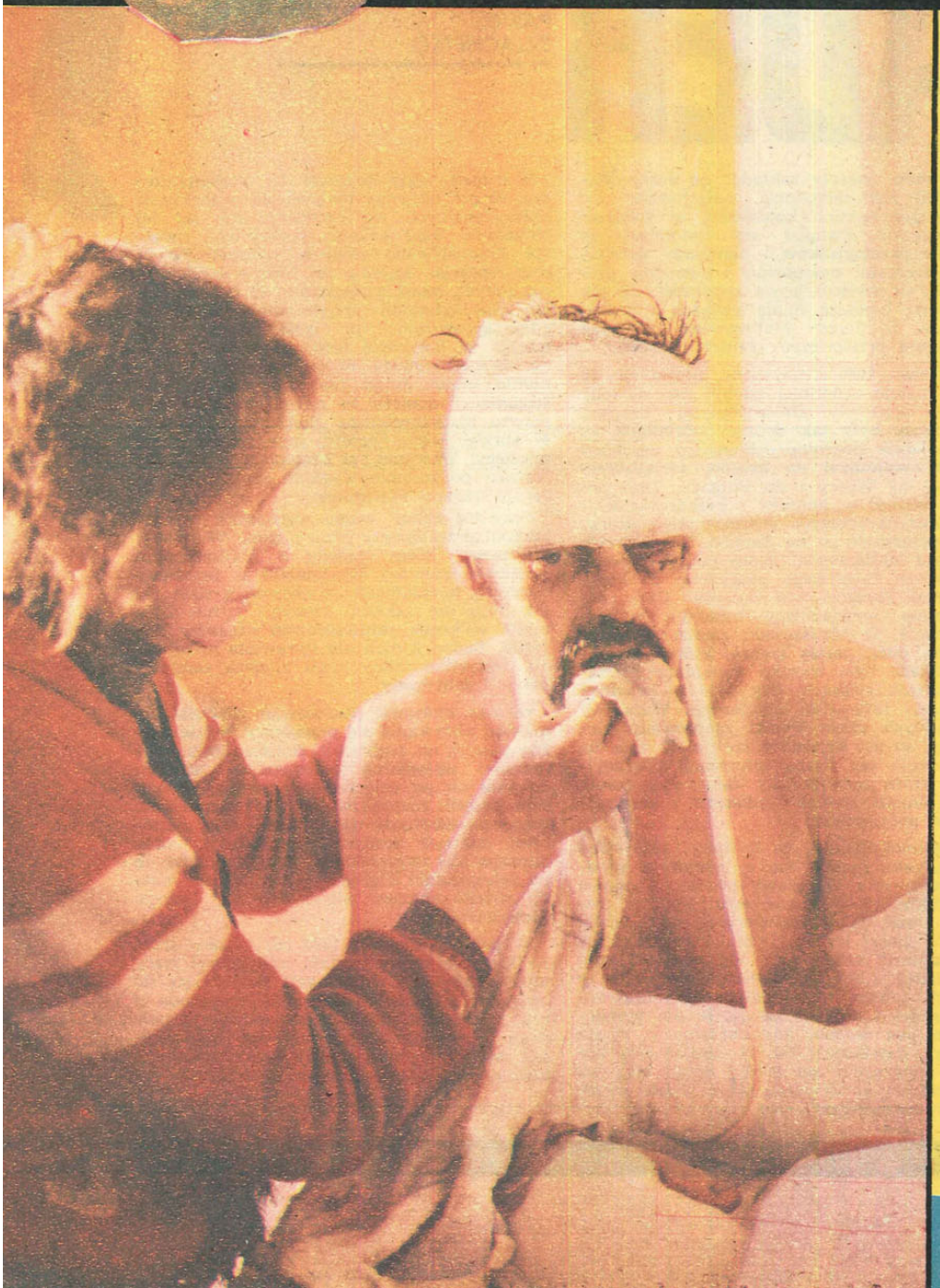

Przywieziono go do szpitala rano i żyje tylko dzięki przypadkowi. Pięciu bandytów, w tym jeden jego znajomy, przez kilkanaście godzin bez przerwy katowało go w jego własnym domu, pijąc przy tym wódkę. Jerzego M. należałoby pokazywać jako przykład okrucieństwa, które przekracza normy świata dzikich bestii, bo te zabijają tylko po to, by przeżyć.

Przy łóżku pobitego czuwała jego matka, cierpliwie obmywająca mu twarz. Na sąsiednim oddziale tego szpitala leży pacjent, któremu poprzedniego dnia na Brzeskiej poderżnięto gardło i też cudem przeżył. Docent z Uniwersytetu Warszawskiego, którego pobito w nocy, leży w szpitalu bródnowskim.

Major Kazimierz Kreja — zastępca szefa DUSW Praga-Północ jest zdruzgotany sytuacją w dzielnicy i uważa, że jeżeli nie zmieni się ona radykalnie, to sceny z niedawno prezentowanego w naszej telewizji filmu pt. „Ucieczka z Nowego Jorku" (wyspę Manhattan oddano całkowicie we władanie przestępcom) można będzie nakręcić w okolicach bazaru Różyckiego. Zezwierzęcenie i bezkarność sprawców przestępstw w zestawieniu z ubezwłasnowolnieniem milicji, zwłaszcza w ostatnich miesiącach, jak mawia pewien przywódca związkowy, „nie mieści się w pale".

Przykłady. W ciągu paru miesięcy na terenie Cmentarza Bródnowskiego dokonano kilkunastu napadów rabunkowych, głównie na staruszki, zabierając im torby i odzież, bijąc przy tym dotkliwie. Na pogrzebie młodego robotnika, wmieszali się w tłum i po uroczystościach żałobnych, gdy wdowa z dwójką dzieci została nad grobem, zrabowali jej kożuch. Po wielu zasadzkach, wykonaniu olbrzymiej pracy operacyjnej, bandytów (pochodzili spod Otwocka) ujęto. Była wśród nich dziewczyna. Nikt z przestępczej tr
przekroczył 30 roku ży

W trakcie naszej rozm
DUSW Warszawa Prag
przerażona kobieta pyt
telefon, dlaczego niejak
mierz B. nadal chodzi w
Bródnie, mimo że doko
lejnego zabójstwa. Majo
cierpliwie tłumaczy jej
sprawa leży w gestii p
tury i wyjaśnia nam, o
dzi. W sierpniu ub. rok
milicji wyrokowiec i nie
ły w tatuażach i sznyta
zimierz B. zabił syna sw
chanki tylko za to, że
chłopiec stanął w obroni
wanej matki. Kazimierz
cił się na niego z nożem
że chłopak zabarykadowa
łazience, wyłamał drzwi
mu kilkanaście ciosów.
określić, czym kierował
penitencjarny. W każdy
w grudniu ub. r. na mocy
stii Kazimierz B. wysz
wolność. 15 lutego br. j
dzice, którzy mieszkają w
cy, bo pobił ich i wy
mieszkania, ujawnili zwło
sakrowanej kobiety, kole
chanki ich wyrodnego sy
nie ma cienia wątpliwośc
jego sprawka. Milicjanci
mują go popijającego w
łym towarzystwie, w j
praskich spelun. Ma rozl
nę ciętą ręki, którą naj
podobniej zadała mu b
się kobieta.

Bandzior bezczelnie ośw
że nie będzie rozmawiał
kuratorem, a w końcu
dza, że jego i ją nap
przed blokiem, a jak
tomniał, to poszedł się
Wszyscy wiedzą, że łże j
lecz prokurator w ramach
nie pojmowanej polityki
szania represyjności nie
wał sankcji w postaci
tymczasowego. Kazimierz
dzi więc dalej po Bródn
jąc zdumienie i grozę, a
mają o to pretensje do
Oczywiście po wykonaniu
skomplikowanych, ale
chłonnych ekspertyz kry

ójki nie
cia.
nowy w
a-Północ
a przez
i Kazi-
olny po
nał ko-
r Kreja
że ta
prokura-
co cho-
ı znany
rób, ca-
ch, Ka-
ojej ko-
17-letni
e kato-
B. rzu-
i mimo
ł się w
i zadał
Trudno
się sąd
n razie
amne-
edł na
ego ro-
piwni-
zucił z
ki zma-
nej ko-
a. Nikt
i, że to
zatrzy-
weso-
dnej z
głą ra-
rawdo-
roniąca

wiadcza,
z pro-
stwier-
adnięto
oprzy-
napić.
k pies,
ı dziw-
mniej-
astoso-
aresztu
B. cho-
ie sie-
ludzie
milicji.
wielu
praco-
minali-

stycznych, przesłuchań, okazań, trafi za kratki. Ale ilu jeszcze w tym czasie dokona przestępstw?

Ta niechęć do stosowania sankcji prokuratorskich powoduje, że bandyci i złodzieje czują się coraz bezkarniej. Niedawno zatrzymano wielokrotnie karanego włamywacza, który niósł koło od malucha. Arogancko oświadczył, że właśnie je znalazł i idzie zanieść na milicję. I oczywiście prokurator nie zastosował sankcji. Dostaje ją ten, kto sam się przyzna, a takich naiwniaków jest coraz mniej. Nawet zatrzymani na tzw. gorącym uczynku w środku kiosku, potrafią się wyłgać i po 48 godzinach chodzą wolni, wesoło pogwizdując.

Szczególnie recydywiści, zatrzymani na 48 godzin, po ostatnich zmianach przepisów potrafią je bezwzględnie wykorzystać. Najpierw składają zażalenie do sądu, choć ich wina jest ewidentna. Zanim sąd „przyklepie" decyzję, mija pół dnia. Następnie żądają widzenia z adwokatem z urzędu i mija następne pół dnia. Później „świrują" jakąś chorobę czy dolegliwość i po skomplikowanych badaniach, wożeniu po szpitalach, mija ustawowy termin, więc trzeba ich wypuścić. Efekt więc jest taki, że tylko w styczniu zanotowano 85 rozbojów połączonych z pobiciem.

Naszą rozmowę w DUSW Praga-Północ przerywaliśmy kilkakrotnie, między innymi, by udać się na miejsce włamania do butiku przy ul. Targowej, gdzie pracowała już ekipa dochodzeniowców. Sklep miał doskonały system alarmowy, jednak włamywacze dostali się przez piwnicę. Załamani właściciele oszacowali straty na 12 milionów zł. Godzinę później okradziono lokal przy Targowej 34. Sprawcy dostali się po daszkach baru „Oaza" do mieszkania, skąd wynieśli komputer, przenośny telewizor kolorowy i sporo gotówki. Dla milicjantów „mieszkaniówki" to jedno z wielu przestępstw, ale dla ludzi, którzy tracą dorobek całego życia — tragedia. Jak jej zapobiec? Co zrobić, żeby było ich jak najmniej? — te pytania spędzają dziś sen z powiek wielu milicjantów.

Gdy rozważamy możliwości odnowy społeczeństwa, są kolejne zgłoszenia: 2 włamania do samochodów, pobicie parkingowego i kradzież samochodu.

Oprócz łagodnej polityki represyjnej, szerokiej ustawy amnestyjnej (teraz dopiero nastąpiło otrzeźwienie, co by było, gdyby wypuszczono wszystkich skazanych), o takiej a nie innej sytuacji na warszawskiej Pradze decyduje tragiczna sytuacja kadrowa. Kiedyś na Pragę do służby nocnej wyjeżdżało 8 samochodów, teraz 2; wywiadowców, czyli podstawowego „nerwu" milicji jest 14 (było 46), a np. na cały Tarchomin jest tylko jeden dzielnicowy. Przyczyny odejścia z milicji znają wszyscy. Pisaliśmy o nich wielokrotnie.

I teraz, na dobrą sprawę, jak uważa mjr Kazimierz Kreja: — Na każdym rogu ulicy, a w okolicach bazaru Różyckiego co 100 metrów, powinien stać milicjant, a radiowozy powinny kursować bez przerwy. — Na razie stosuje się środki zastępcze. Ściągnięto z kraju 50 inspektorów kryminalnych, ale nie znają oni tego środowiska przestępczego i jego zwyczajów. Dwa dni w tygodniu działają na Pradze-Północ komandosi z tzw. brygad tygrysa (Wydział Zabezpieczenia SUSW). Gdy ci szturmowcy wkraczają do akcji, niejeden cwaniaczek unika ich jak ognia (o czym w następnym reportażu).

I znowu przemieszczamy się do szpitala przy ul. Lindleya, pełniącego ostry dyżur, gdzie przywieziono akurat dwóch z awantury na bazarze Różyckiego. Panie w rejestracji oddziału chirurgii urazowej mówią, że podczas całodobowego dyżuru przyjmują od kilkunastu do kilkudziesięciu pobitych. Na oddziale chirurgii szczękowej spotykamy znajomego (sympatyka „MK 997") doktora Włodzimierza Szmurłę, kończącego akurat drutowanie pękniętej żuchwy temu z bójki na bazarze. Po skończonej operacji mamy nieco czasu, aby porozmawiać. Doktor miesięcznie, podczas swoich dyżurów, operuje kilkadziesiąt osób z uszkodzeniami szczęki (inne szpitale podobnie). Zauważył, że po amnestii wzrosła liczba operowanych, a przypadki złamań są bardziej skomplikowane, co świadczy o wyjątkowej brutalności. Wzrasta liczba pacjentów w soboty i niedziele, dni wypłat i popularne imieniny.

Jak długo będzie trwał ten horror? Wielu widzi tylko jedno rozwiązanie: kilkanaście kostek trotylu, buldożery i z takich ulic jak Brzeska, Capri, Stalowa nie powinien zostać ślad...

ZYGMUNT PODHORODECKI
zdj. Paweł Szlachetko

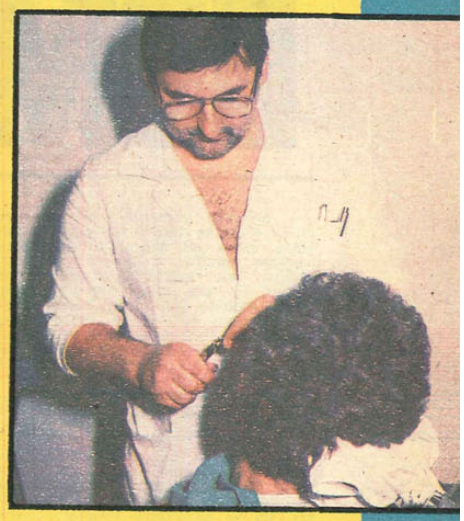

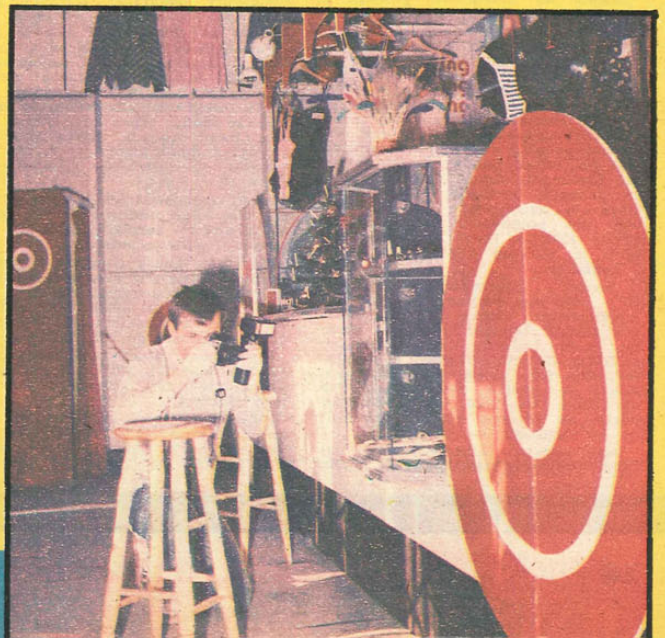

ciąg dalszy ze s. 7

spędzonym na suto zakrapianej alkoholem kolacji w Grandzie. Wówczas do trójki gentelmanów dosiadł się ich znajomy, jeden z lepiej prosperujących w Warszawie krawców. Kto pierwszy zaproponował rozegranie małej partyjki pokera, nie bardzo już dziś wiadomo. Początkowo krawiec co raz wygrywał i wraz z tym jak rosły przed nim góry banknotów, do kwadratu wzrastała w nim chęć gry. Z tym tylko, że trójka rozgrywających wiedząc o zamożności gościa postanowiła „zrobić go na klawo". — Ten facet — powie nad ranem jeden z poznanych przez nas tej nocy graczy — miał już przed sobą około 800 tysięcy i napalony był na większy zysk, jak sto diabli. Dopiero wówczas pozostali trzej rozpoczęli robienie gry. Na stole wylądowała inna trumna z nową zawartością kart. Chwyt polegał na tym, że z czterech talii czerwonych usunięto wszystkie karty od siódemek w górę. Za to 4 talie niebieskie zostały pozbawione kart, od siódemek w dół. Tak więc rozgrywający widząc, jakie kolory napaleniec trzyma w ręku mógł się orientować w wysokości posiadanych przez tamtego walorów. Zachowując pozory uczciwości dwaj grali na przyjaciela, który bankował. W ciągu godziny odzyskano od krawca 800 tysięcy. Ponownie dano mu kilka razy wygrać podwajając stawki. Po sześciu następnych godzinach krawiec przegrał trzydzieści milionów i stojący przed domem samochód (nowy model forda). Na koniec oskubali go haustem. Kiedy wraca do stołu, pokazuje bankierowi, że na razie pasuje. Na stole leżą cztery miliony złotych. Następny gra o milion ogólnej sumy. Przegrywa. Kicha (naładowany bank) na stole rośnie. Dwa procent z każdego uderzenia (tzw. kaniota) idzie do portfela pana domu. Jest to suma, którą gracze pokrywają wydatki związane z organizacją dzisiejszego wieczoru.

— Kurwa mać — słyszymy po raz pierwszy. Nerwy? Kolejny gracz przegrywa. Rzuca ze złością karty na stół i dokłada 800 tysięcy. Nic tu po nim.

Bon ton już dawno ulotnił się z tego towarzystwa. Kolejny z graczy wygrywa 500 tysięcy. Po zrobieniu jednak rundy w banku jest już 10 i pół miliona. Bankier zwraca oczy na pana Arnolda, ten wyjmuje z portfela 900 dolarów i rzuca je na stół.

— Banco sel — jego usta zaciskają się, na twarzy pojawia się wyraz zaciętości. Jest godzina druga w nocy. Ponieważ trumna jest już prawie pusta, wszystkie karty idą w tas.

Pan Arnold zawsze gra wysoko. Czasem sprzyja mu szczęście. Na przegraną może sobie pozwolić. Jego interes tygodniowo przynosi mu dochody do dwóch milionów złotych. Trzy czwarte z tych pieniędzy jest nie zaksięgowane. Przed czterema laty przeholował. Uparł się, żeby wygrać... i przegrał wszystko — nawet własny interes. Od gry wstał goły tak, że wszyscy gracze zrobili skitkę (zrzutka pieniędzy), by miał chociaż na taksówkę. Ale pan Arnold ma głowę na karku. W towarzystwie nie pokazywał się przez rok. Zniknął z Warszawy. Po tym czasie wrócił z równie pełnym, co poprzednio portfelem i ponownie zasiadł do gry. Teraz podnosi ze stołu ostatnią kartę. Ma na ręku żydowskie okno (2 x 4), bankier ma zaledwie szlagier (cztery i pięć). Pan Arnold przegrywa. Na stole leży 12 mln. Przerwa w grze. Ponownie wychodzi z pokoju. Pan Arnold jednym haustem wypija pół szklanki koniaku. Jest rozluźniony i uśmiechnięty. Pozory?

W trzy godziny później przegra jeszcze 2 mln. W tym czasie jeden z graczy, który z braku funduszy (przegrał 1,5 mln) będzie siedział w toalecie i męczył się, by wyrzucić z siebie nadmiar wypitego alkoholu.

Karty, jak dowiemy się później, zostaną odłożone o dziesiątej rano. Wygrani zafundują pechowcom jeszcze przedpołudniową kawę w „Mariocie". Tu jeden z panów, nie zdążywszy dobiec, zwymiotuje przed drzwiami toalety. Sto tysięcy złotych przywróci uśmiech na twarzy obsługującej ten przybytek pisuardessy. Żołądkowiec zostanie odstawiony do domu, a reszta towarzystwa ruszy w dalszy bal po Warszawie.

Idąc w kierunku Śródmieścia mijamy kobiety ustawione w kolejkę przed drzwiami sklepu mięsnego.

— Pani wytrzymuje te podwyżki? — słyszymy. — Już miesiąc temu ledwie dociągaliśmy do końca. A co dalej?

PAWEŁ SZLACHETKO
JERZY KIRZYŃSKI
zdj. **P. Szlachetko**

DOMEK Z KART

— Mówiąc szczerze nie bardzo wierzyłem, że tamci się zgodzą. Jeszcze kilka lat temu ja sam propozycję panów wziąłbym za żart, którym nie warto zawracać sobie głowy. No cóż, czasy się zmieniają.

— Wiadomo już kiedy będzie gra?

— Zanim do tego przejdziemy chciałbym, to znaczy proszono mnie, bym uzyskał od panów kilka zapewnień.

— ...?

— Zdjęcia nie wchodzą w grę.

— W porządku — przyjmujemy warunek.

— Kolejna rzecz. Żadnych nazwisk, a tym bardziej adresu, pod który zostaniecie zaproszeni. Możecie używać imion — te i tak w większości są nieprawdziwe. Spotkamy się w najbliższą sobotę o dziewiętnastej w restauracji klubu dziennikarza na Foksal.

Nasz rozmówca wstaje od stolika, żegna się, odchodzi. Po chwili wraca.

— Aha, zapomniałbym, obowiązują garnitury.

Klepie na pożegnanie jednego z nas po ramieniu i odchodzi.

Z klubu dziennikarza zostajemy zabrani punktualnie o godzinie dziewiętnastej. Wsiadamy do zielonego poloneza. Ruszamy w kierunku Saskiej Kępy. 15 minut później stajemy przed drzwiami jednorodzinnego domku. Otwiera nam gospodyni domu. Przybywamy jako ostatni. W dużym pokoju, nazywanym salonem, jest już ośmiu panów. Ściskamy sobie nawzajem dłonie. Jesteśmy swego rodzaju atrakcją. Pan domu wskazuje zachęcająco na szwedzki stół. Na półmiskach przygotowano zimne zakąski. Dalej ustawiono butelki z paroma rodzajami wódek i koniaków.

„Proszę", „przepraszam", „dziękuję", „jest pan bardzo uprzejmy" — niepodzielnie panuje wokół. Panowie skubią kanapki drobnymi kęsami, przy trącaniu się kieliszkiem schylają wzajemnie przed sobą głowy. Bon ton, elegancja. Prócz pani domu są jeszcze inne damy. Jak na razie wszystko ma charakter party, na którym spotkali się długo nie widzący się przyjaciele.

Dość szybko zainteresowanie naszymi osobami słabnie, aby w końcu przejść w zupełną obojętność. Kiedy pani domu widzi w naszych rękach papierosy, wskazuje pokój, gdzie, jak mówi, jest palarnia. Gra pozorów nabiera coraz większego tempa. Mimo kilku wódek panowie nadal pozostają sztywni, panie co jakiś czas zerkają w jedno z licznie rozwieszonych w mieszkaniu luster, by sprawdzić czy włosy nadal są właściwie ułożone. Wszystko jest równie sztuczne, jak zgromadzone wokół meble. W palarni znajdujemy meble podrabiane w stylu empire. Pod jedną ze ścian stoją regały z książkami. Są oprawione w płótno z wyzłoconymi grzbietami. Wysuwam jedną z nich. Na grzbiecie dostrzegam kurz.

Po godzinie wszystkie panie, wycałowując sobie wzajemnie róż z policzków, żegnają się. Godzinę później pani domu również wychodzi. Zostają sami mężczyźni.

— Możemy zaczynać — gospodarz rozsuwa szklane drzwi dużego pokoju i przechodzimy do jego drugiej części. Pośrodku ustawiono duży stół pokryty zielonym suknem. — Ćwiczymy bakarata? Wszyscy zgadzają się bez słowa. — Miza jak zwykle po pięćdziesiąt tysięcy?

Pan Alfred, duży zażywny jegomość, spogląda na pozostałych. Wszyscy kiwają twierdząco głowami, rzucając na stół pieniądze. Miza to swego rodzaju wpisowe, oznacza, że dany gracz ma zamiar uczestniczyć w grze. Spoglądając na pieniądze dokonujemy szybkiego rachunku. Na stole leży czterysta tysięcy zł.

Ktoś opowiada jakiś kawał. Pań nie ma, więc można pozwolić sobie na grubszy żarcik. Śmiejąc się wszyscy zajmują miejsca.

Na stole ląduje trumna — jest to średniej wielkości skrzynka, w którą po przetasowaniu włożone zostaje osiem talii, każda po pięćdziesiąt dwie karty. Licytację, kto trzyma bank, wygrywa pan domu.

Uprzedzeni przez wprowadzającego nie podchodzimy bliżej stołu. Gracz nie lubi, gdy ktoś stoi za jego plecami.

Przed rokiem, w innym domu i w innym towarzystwie, toczyła się podobna gra. Z tym tylko, że panowie zasiedli do kart po wieczorze nawet ze złotego sygnetu. Po kilku dniach w „Życiu Warszawy" ukazał się nekrolog zamieszczony przez rodzinę krawca, który się powiesił. Gra w karty jest grą lepszego oszusta z oszustem słabszym, to wszystko. Oczywiście nie mam na myśli spotkań towarzyskich, takich jak nasze. Tu gramy dla przyjemności.

Na stole, dochodzi godz. 24.00, leży pół miliona złotych.

— Banco sel (sam biję wszystko) — mówi jeden z poniterów (graczy) do bankującego.

Ten dobiera sobie karty z trumny.

— Siódemka — poniter wykłada na stół dwie karty (trójkę i czwórkę).

— Żydowskie okno — bankujący odkrywa dwie czwórki.

Przegrany dokłada do banku pół miliona. Na pytającą minę bankiera odpowiada.

— Banco sui vi (dalej biję).

Ponowne rozdanie kart i grający o wszystko ponownie przegrywa.

Suma urasta do dwóch milionów złotych. Panowie już dawno zdjęli garnitury. Rozluźnione pod szyją krawaty zwisają przekrzywione na bok. Swobodne rozmowy powoli milkną. Przegrany sięga do bocznej kieszeni marynarki, wyjmuje chustkę i wyciera spotniałe ręce. Na pytające spojrzenie bankiera sięga po portfel, wymuje 250 dolarów i rzuca je na piętrzący się stos banknotów. Po dzisiejszym kursie 8000 zł za jednego dolara, daje to równe dwa miliony.

— Banco sui vi.

Bankier wyrzuca w jego kierunku jedną kartę, drugą, trzecią.

— Res (mam dosyć, nie dobieram).

Na twarzy bankiera pojawia się uśmiech, kiedy spogląda w swoje karty. Czy jest on prawdziwy? Grający wykłada na stół dwie dwójki i jedną trójkę. Razem siedem punktów. Bankier ma czwórkę i trójkę. Poniter przegrał. Podrywa się zza stołu.

— Przepraszam — wychodzi szybko z pokoju. Z naszego miejsca dostrzegamy, jak staje przy bufecie, sięga po szklankę i nalewa do połowy koniak. Wypija go jednym

W znanym dowcipie na pytanie: co robi Francuz, Rosjanin i Polak natychmiast po przebudzeniu? odpowiedź brzmi: Francuz całuje swoją partnerkę dziękując jej za upojną noc, Rosjanin odpina ordery od piżamy i przypina je do marynarki, Polak biegnie do okna sprawdzić, czy nie skradziono mu samochodu.

Dowcip jest stary i nie wiem jak w stosunku do Francuza i Rosjanina, ale w stosunku do Polaka nie stracił nic na aktualności.

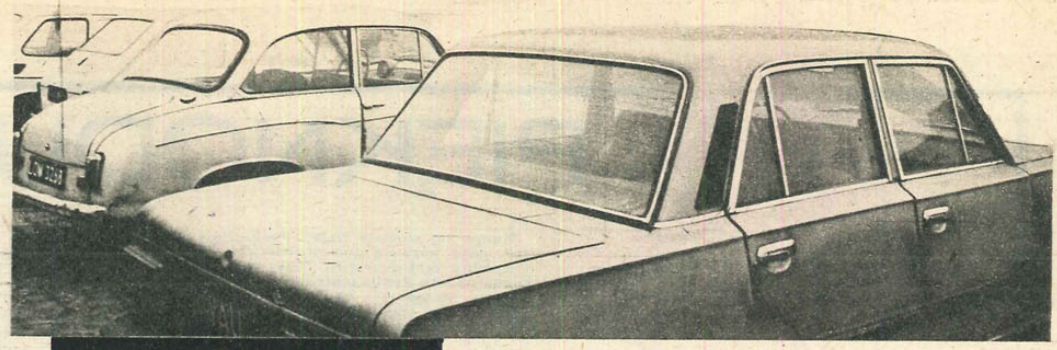

CZAR CZTERECH KÓŁEK

ELŻBIETA SITEK

Liczba kradzionych i okradzionych samochodów rośnie z roku na rok, a statystyka przyprawić może o zawrót głowy. Jeśli bowiem w 1988 roku skradziono w Polsce około 4000 samochodów, to w roku 1989 już około 7000, w 1988 włamano się i okradziono 38 000 aut, rok później 60 000. Wynika z tego, że w 1988 każdego dnia złodzieje kradli 11 samochodów i włamywali się do 100, a w 1989 ich łupem padało dziennie 20 samochodów, a okradanych było 165. Bieżący rok, sądząc po danych ze stycznia, zapowiada się jeszcze gorzej.

Ponad jedna trzecia kradzieży samochodów, jak również włamań do nich zdarza się w Warszawie i województwie stołecznym. W ubiegłym roku skradziono tu prawie 2500 aut, a okradziono 10 razy tyle, czyli blisko 25 000. Tyle na razie statystyki. Może odechcieć się samochodu, gdy z dalszych wyliczanek wyniknie, że w stolicy co 3 i pół godziny jakiś złodziej uprowadza samochód, a co 20 minut inni włamują się i okradają auta kolejnych pechowców.

W komisariatach nie mają czasu...

na takie wyliczanki. Dzielnicowi ledwie nadążają przyjmować zawiadomienia o przestępstwach i wszczynać postępowania.

Por. Marian Kwiatkowski, komendant XXVII Komisariatu MO w Warszawie, na podstawie grubej księgi RSD wylicza, że w styczniu na 312 wszczętych dochodzeń 220 dotyczyło włamań do samochodów, a 21 kradzieży aut. A więc 70 proc. rejestrowanych przestępstw dotyczy samochodów. Kiedy w latach siedemdziesiątych por. Kwiatkowski pracował tu jako dzielnicowy, ta kategoria przestępstw była niewielka. Oczywiście, mniej wtedy było samochodów, ale to nie jest jedyny powód. W ogóle przestępczość była wówczas mniejsza, bo więcej było milicji.

— To najprostsza recepta na poprawę stanu bezpieczeństwa — mówi por. Kwiatkowski. — Z czasów, gdy byłem dzielnicowym pamiętam wiele przypadków, kiedy płoszyliśmy nocnych złodziei z parkingów lub zatrzymując do kontroli samochody ujawnialiśmy, że są kradzione. Kiedyś w nocy taki podejrzanie wyglądający kierowca poloneza nie chciał zatrzymać się, więc złapaliśmy przejeżdżającą taksówkę i wraz z kolegą goniliśmy go przez pół Warszawy. Facet uciekł, a rachunek za taksówkę musieliśmy zapłacić z własnej kieszeni. A jednak opłaciło się, bo gdy dzięki numerom rejestracyjnym samochodu ustaliliśmy i zatrzymaliśmy kierowcę, który okazał się znanym włamywaczem, to wyszło na jaw, że tym pościgiem uniemożliwiliśmy mu zaplanowane włamania do samochodów. A dziś — porucznik rozkłada ręce — co może zrobić moich 7 dzielnicowych obsługujących jedną trzecią Żoliborza? Gdy przychodzą do służby, już czeka kolejka petentów. Milicjant wykonuje czynności urzędnicze, a kiedy ma wykonywać milicyjne?...

Statystyczny Kowalski,

który stwierdza pewnego ranka, że oto w nocy skradziono mu dorobek wielu lat życia w postaci np. fiata 126p, przychodzi do komisariatu z pretensją, że na parkingu, ulicy, podwórku, gdzie stał jego samochód, nie było milicjanta. Jest rozżalony, zdenerwowany, a jego sprawa jest dla niego najważniejsza na świecie. Spodziewa się w komisariacie najpierw współczucia, a potem uruchomienia jakiejś potężnej machiny, która błyskawicznie przystąpi do poszukiwań. Tymczasem cała machina to zmęczony dzielnicowy, który mrucząc: „to już piąte dzisiaj", obojętnym ruchem wyciąga protokół zawiadomienia o przestępstwie (jeśli akurat nie zabrakło druków) i zadając rutynowe pytania notuje: gdzie, kiedy, marka, kolor, numer silnika, numer nadwozia itd., itd. Wszczyna postępowanie, wysyła informację do wydziału PIR SUSW i przyjmuje kolejne zgłoszenia. Gdy starczy czasu, spędzi go nad stertą innych piętrzących się na biurku akt. Skradzionych samochodów szukać będzie przy okazji pobytu w rejonie na zasadzie działań „z doskoku", a nie ciągłej, zaplanowanej akcji.

70 proc. skradzionych samochodów odnajduje się, ale w niewielkim tylko stopniu jest to zasługa dzielnicowych. Przyznają to sami, ale co mogą zrobić? XXVII Komisariat MO na przykład ma 62 proc. wakatów, więc ta garstka, która pracuje, robi wszystko naraz.

Kowalski otrzyma wprawdzie odszkodowanie

z PZU, ale jeszcze do niedawna prawdziwą wartość samochodu pokrywało ono jedynie, gdy właściciel był dodatkowo, oprócz autocasco, ubezpieczony do tzw. wartości giełdowej. Jeśli jednak na dodatkową składkę (1 proc. giełdowej ceny, a więc np. w ub. roku za poloneza 140 tys. rocznie) poskąpił, a samochód stał się łupem złodzieja, otrzymał z PZU jedynie równowartość ceny fabrycznej pomniejszoną o 7 proc. za każdy rok eksploatacji. W efekcie, ktoś, kto stracił np. 2—3-letniego poloneza, za odszkodowanie mógł kupić na giełdzie zaledwie 10-letniego malucha. Obecnie przy zrównanych cenach giełdowych i fabrycznych dodatkowe ubezpieczenie jest zbędne. Miały je zastąpić wysokie składki ubezpieczeniowe, ale dyr. Rodziewicz z Wydziału Ubezpieczeń Komunikacyjnych i Osobowych PZU lamentuje, że ta suma już się zdewaluowała i w następnym kwartale trzeba ją znacznie podnieść.

Ile rocznie wypłaca PZU za skradzione pojazdy? W 1987 roku — 872 miliony, w 1988 — 2 miliardy, a ile będzie w roku 1989, trudno jeszcze powiedzieć. Ceny zmieniły się tak bardzo, a liczba kradzieży tak wzrosła, że właściwie nie ma żadnego porównania ani odniesienia. Może będzie to trzy-, a może dziesięciokrotnie więcej niż w 1988.

W ostatnich miesiącach coraz częściej zdarza się, że właściciel, który otrzymał za skradziony samochód odszkodowanie, w chwili, gdy auto się znalazło, nie chce go odebrać zatrzymując pieniądze, a samochód oddając PZU. Jednak zdecydowana większość chce odzyskać swój samochód.

Szanse Kowalskiego

zależą tu głównie od tego, do jakiego celu auto było złodziejowi potrzebne. Jeśli jeździł nim na włamania, to na pewno po którymś razie stwierdzi, że samochód jest już „trefny" i zostawi go gdziekolwiek na drodze. Będzie tam stało do czasu, aż zainteresuje się nim milicjant czy przypadkowy przechodzień.

Niedawno w Warszawie 11-osobowa świetnie zorganizowana grupa włamywaczy w ciągu kilku miesięcy działalności skradła prawie 30 samochodów. Głównie renówki, nissany i fordy, polonezy i fiaty — kradli jedynie z braku czegoś lepszego. Wykorzystywano je do włamań do sklepów i mieszkań według ściśle przestrzeganej zasady — na każde włamanie nowym wozem. Wszystkie skradzione auta milicja odzyskała. Jedne porzucone byle gdzie odnajdywała milicja w wyniku patroli lub informacji jakiegoś obywatela, inne zatrzymywano podczas kontroli drogowej, kiedy to zdarzyło się ujawnić w środku łomy i inne narzędzia o niedwuznacznym przeznaczeniu, jeszcze inne porzucane podczas pościgu, a był i taki przypadek, gdzie o porzuconym samochodzie powiadomiła milicję — jak się później okazało — matka jednego ze złodziei, której żal było, żeby ktoś ukradł taką porządną (porzuconą przez jej syna i kolesiów) renówkę. Przestępcy wpadli, mają na koncie ogromną liczbę włamań do sklepów i mieszkań, ale odpowiadać będą także za przestępstwo z art. 214 k.k. popularnie nazywane krótkotrwałym użyciem pojazdu. Taką kwalifikację prawną otrzymują te przypadki kradzieży, kiedy pojazd odnalazł się, jeśli to nie nastąpiło, przestępstwo otrzymuje kwalifikację z art. 203 k.k., czyli jest kradzieżą.

Niestety, około 30 proc. skradzionych aut do właścicieli już nie wraca. Jedne rozebrane zostają na części, inne w całości sprzedane.

O pechu może mówić

wówczas nowy właściciel. Pani L. z Katowic, która w ubiegłym roku kupiła na giełdzie w Warszawie nowego poloneza za 4200 dolarów, na pewno do dziś przeklina ten moment. Sprzedający zapomniał dodać koło zapasowe, umówili się, więc, że pani L. odbierze je w czasie bytności w Warszawie za 2 tygodnie. Miała imię, nazwisko i adres sprzedającego. Gdy przyjechała do stolicy, okazało się, że owszem ulica o takiej nazwie istnieje, ale numeru 173 nigdy na niej nie było. Podejrzewając, że ktoś chce ją wykiwać z tym piątym kołem, pani L. zgłosiła się na milicję. I tu okazało się, że wykiwana została nie tylko na zapasowe, ale na wszystkie cztery kółka, ponieważ kupiła samochód skradziony parę dni wcześniej w Ostrołęce. Owszem, otrzymała przy transakcji niezbędne dokumenty, ale one także były kradzione (z wydziału komunikacji w innym województwie). Pani L. odebrano samochód i oddano pierwotnemu właścicielowi, a 4200 dolarów diabli wzięli. Nie pomogły szlochy, lamenty, omdlewania i odwołania. Pani L. może pisać zażalenie do Pana Boga. A wydawałoby się, że przed takimi przypadkami wystarczająco często przestrzega milicja w środkach masowego przekazu. Od ryzyka kupna kradzionego samochodu nie ma ubezpieczenia.

— Jedynym jest własna przezorność — mówi mjr Bernard Cichoń z Wydziału Kryminalnego SUSW. — Kupujący powinien żądać od sprzedającego faktury pierwotnego zakupu. Nawet jeśli auto ma już kolejnego właściciela, to taka faktura przechodzić winna po prostu z rąk do rąk razem z samochodem. Złodziej może mieć kradzione dokumenty, ale faktury nikt przecież w samochodzie nie trzyma, a i podrobić jej się nie da. Drugi — to sprawdzenie, czy auto o takich numerach silnika i nadwozia figuruje w milicyjnej kartotece. Ale na to trzeba mieć czas. Na giełdzie zwykle panuje nerwówka, pośpiech, a kradziony samochód zawsze sprzedawany jest jako wyjątkowa okazja.

Co zatem ma robić Kowalski

posiadacz samochodu, którego nie zabierze przecież na noc do mieszkania, aby pewnego ranka nie stał się „byłym posiadaczem"?

Osobiście wątpię w skuteczność większości autoalarmów słysząc jak każdego wieczoru wyją one na osiedlu poruszone byle wiatrem i prędzej rozładuje się akumulator, niż pojawi właściciel. Najlepszy jest autoalarm ukryty, z przywołaniem, tj. taki, który odzywa się w domu. Bardzo również przydatne i coraz popularniejsze w Polsce, jest tajne znakowanie części samochodowych, zwłaszcza tych najbardziej narażonych na kradzież. Takie usługi reklamują ostatnio różne firmy detektywistyczne.

Por. Kwiatkowski mówi, że nie ma na razie lepszego sposobu, jak organizowanie społecznych straży do ochrony parkingów. W rejonie XXVII Komisariatu MO jest takich parkingów kilkanaście i na nich kradzieże nie zdarzają się.

Jak zatem potraktować sytuację w jednym z osiedli, gdzie mieszkańcy pewnego bloku skrzyknęli się, ogrodzili parking i pełnią na nim dyżury, a mieszkańcy sąsiedniego bloku protestują, że tamci parking zajęli bezprawnie i nie wyrażają zgody, natomiast władze dzielnicy pogodziły wszystkich w sposób iście salomonowy: „nie masz ty, niech nie ma i on i będzie spokój", czyli nakazały parking zlikwidować? Klasyczny przykład wylania dziecka z kąpielą.

— Społeczne parkingi trzeba tworzyć, a nie likwidować — oświadcza por. Kwiatkowski. — Nawet liczna i najsprawniej działająca milicja nie będzie w stanie upilnować wszystkiego i społeczna pomoc potrzebna będzie zawsze, cóż dopiero w dzisiejszej sytuacji...

A zatem — kierowcy wszystkich samochodów łączcie się!

PIĘKNODUCHOM

Czym w odczuciu społecznym jest łapownictwo? Wszystkie sondy przynoszą prawie identyczne odpowiedzi: gangreną, która paraliżuje prawidłowe funkcjonowanie urzędów, placówek lub instytucji. Powszechnie znane jest powiedzenie: „W Polsce tylko ryba nie bierze".

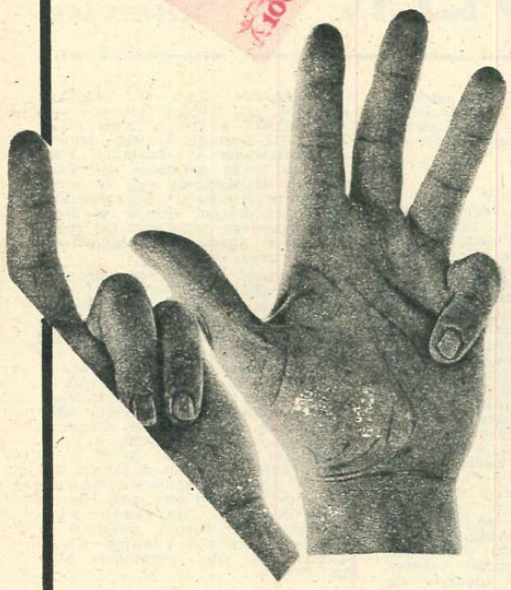

Komu się obecnie **daje**? Podkreślam słowo „daje", gdyż pozwala ono prawidłowo zrozumieć mechanizmy łapówkarstwa. Tzw. petent, który trafia przed oblicze kompetentnego do załatwienia jakiejś sprawy urzędnika bądź dysponenta określonych dóbr, mając zakodowaną „prawdę" o skutecznym sposobie kruszenia urzędniczej obojętności, nie czekając na wymowny gest wciska kopertę z pieniędzmi wraz ze słowami: „Proszę się nie gniewać, ale ja znam życie".

To prawda, że wielu urzędników na taki gest czeka, lecz dla znacznej części jest to niemiłym zaskoczeniem. Protestują, ale te odruchy są interpretowane jako sztuczne, dla zachowania pozorów.

Dwaj funkcjonariusze z Wydziału Dochodzeniowego RUSW w Z. opowiedzieli mi historię pewnego urzędnika, który mimo woli stał się łapownikiem i trafił za kratki. A zaczęło się tak: petent ubiegający się o załatwienie pewnej sprawy miał z góry przygotowaną łapówkę. Gdy urzędnik wstał zza biurka i podszedł do żelaznej szafy stojąc do interesanta bokiem, ten podłożył paczkę banknotów pod swoje podanie i wyszedł.

— Głowiłem się, co zrobić? — wyjaśnia urzędnik. — Znając podejrzliwość szefa, nie mogłem mu odnieść tych pieniędzy. Z pewnością pomyślałby, że zrobiłem to, by zamydlić mu oczy. Zatrzymałem więc pozostawioną przez interesanta kwotę. Poczułem jednak, że znajduję się w klinczu. Musiałem załatwić sprawę zgodnie z życzeniem petenta, gdyż mógł mnie pomówić o wzięcie łapówki. Może to jakoś udokumentował? Nie skończyło się na tej sprawie. Zadowolony interesant przysłał mi ze swoją „rekomendacją" jakiegoś kuzyna. Ten wraz z podaniem wyjął kopertę. Na moje oburzenie odparł: — Niech się pan nie boi, będę milczał jak mój krewny. Chyba że...

Inny przykład: lekarz, nie mając odwagi przyjść osobiście napisał do szefa RUSW w L.: — „Wiem, że popełniłem przestępstwo, ale biorę pod przymusem i moralną presją. Dając mi, a raczej zostawiając na biurku w gabinecie czy w kieszeni fartucha pieniądze, dewizy, wyroby ze złota i inne cenne przedmioty, ludzie są pewni, że spełnili swój święty obowiązek wobec najbliższych, których mam operować. W każdym przypadku staram się zrobić operację jak najlepiej. Ale czy wolno mi burzyć sumienia tych, którzy powodzenie operacji wiążą nierozerwalnie z dawaniem łapówek?

Gdy maturzysta zostaje przyjęty na studia za pierwszym podejściem, pytanie do jego rodziców brzmi: ile państwo dali?

Za co bierze się łapówki? Przede wszystkim za umożliwienie zakupu deficytowych towarów, za przyśpieszenie przydziału spółdzielczego mieszkania, za surowce i materiały, których wciąż brak, za sprzedaż gruntów miejskich i pod działki, za miejsce w szpitalach, zwłaszcza specjalistycznych, za kolor wylosowanego z przedpłaty samochodu itd.

Leży przede mną dokument, który daje statystyczny obraz łapownictwa w latach 1983—1987. Oczywiście, tylko w świetle czynów ujawnionych. W roku 1983 liczba łapówek wynosiła 2464, w 1984 — 2928, w 1985 — 3362, w 1986 — 4154, natomiast w roku 1987 — 3035. W podanych liczbach zostały zawarte dwa człony składowe łapownictwa: sprzedajność (art. 239 i 240 k.k.) oraz przekupstwo (art. 241 k.k.). Należy dodać, że mimo ścisłego związku, który występuje między przestępstwami przekupstwa i sprzedajności (zarówno w aspekcie prawnym, jak i faktycznym) liczebny wyraz obydwu jest zróżnicowany. Od wielu lat funkcjonariusze milicji stwierdzają i wykrywają więcej tych pierwszych. Łatwiej prowadzić rozmowy z tymi, którzy dają niż z biorącymi łapówki.

W roku 1988 nastąpił wyraźny spadek zakończonych postępowań przygotowawczych o łapownictwo. W stosunku do roku 1986 spadek ten wynosił 20 proc. Liczba spraw zmalała do poziomu z 1984 roku. Tendencja spadkowa utrzymuje się nadal. Dotyczy ona również trzeciego kwartału 1989 roku. Ujawniono w tym czasie o blisko 42 proc. mniej faktów łapownictwa niż w analogicznym okresie 1988 roku.

Łapownictwo stymulować będą dokonujące się już przeobrażenia własnościowe w gospodarce, dotychczas uspołecznionej. A także drakoński system podatkowy. Łapownictwu sprzyjały będą również wciąż istniejące monopole.

Jeśli przestępstwa przekupstwa i sprzedajności są tak powszechne, to dlaczego wraz ze wzrostem tych czynów nie postępuje ujawnialność i wykrywalność?

Przyczyny tego stanu rzeczy są złożone i różnorodne. Jedno trzeba podkreślić: funkcjonariusze milicji zarówno działający operacyjnie, jak i wy-

RĘCE WE KRWI

Gdy człowiek narusza piąte przykazanie, dzieje się rzecz straszna.

Gdy młoda kobieta rzuca się z nożem w ręku na swą koleżankę, by móc jej zabrać pieniądze, staje się coś nietypowego i wręcz nieprawdopodobnego.

Gdy sprawczyni, pochodząca ze zwyczajnego środowiska, jest matką maleńkiego dziecka i za dwa miesiące ma urodzić kolejnego potomka...

Nie, tu już brakuje słów, ocen, kryteriów.

Zetknął je ze sobą przypadek.

Iwona — ładna, szczupła, ciemnowłosa, urodzona 26 października 1969 roku w Gdańsku. Żona i matka kilkumiesięcznego podówczas maleństwa. Mieszkająca z rodziną u swej matki. Niewielkie mieszkanie w bloku, skromnie wyposażone. To ofiara.

Mariola — trochę starsza, gdyż urodzona w 1965 roku. Mąż piłkarz, rodzina prawie już czteroosobowa, z drugim dzieckiem w drodze. Jak na nasze warunki — bardzo dobry start życiowy (w tym fiat 125p, wideo itp.). Mariola jest dość okrągłą blondynką, znaną w swym otoczeniu jako osoba spokojna, nie wchodząca nikomu w drogę. To sylwetka sprawczyni.

Mówi Mariola:

— Iwonę znam od zimy tego (1989 — przy. aut.) roku. Poznałam ją w Nowym Porcie w sklepie. Kiedyś jak wracałyśmy ze sklepu, Iwona zaprosiła mnie do siebie. Wychodziłyśmy wspólnie na spacer z dziećmi, nasze kontakty układały się bardzo dobrze...

W ciągu następnych kilku miesięcy odwiedzały się dość często, pożyczały ciuszki dla swych pociech, dzieliły radościami i kłopotami młodych matek. Ze starego, piętrowego domu, w którym mieszkała Mariola, było dosłownie kilka kroków pod adres Iwony.

Mówi matka Iwony:

— Córka wyszła za mąż w 1988 roku, w listopadzie tegoż roku urodziła córeczkę Patrycję. Mieszkamy razem. Poznały się z Mariolą przez Asię, która pracuje w sklepie warzywnym. Najpierw wszystko było dobrze. Dopiero kiedy raz zginął pierścionek, a raz portfel — i obie rzeczy w czasie, gdy była w mieszkaniu Mariola — straciłyśmy do niej zaufanie, choć się wyparła kradzieży. Zabroniłam córce spotykać się z Mariolą, ale nie posłuchała mnie.

Iwona od dłuższego już czasu zamierzała kupić pralkę automatyczną. Wraz z mężem wzięli 21 czerwca 1989 r. kredyt dla młodych małżeństw i pieniądze zdecydowali przeznaczyć na ten właśnie cel. Propozycja Mariolki spadła jak z nieba — obiecała pomoc w załatwieniu pralki.

Mówi Mariola:

— Mój mąż wyjechał w nocy o godzinie 3.00 do NRD na tydzień. Zostałam sama z dzieckiem w domu. Córka obudziła się o 6.00, około 9.00 wpadła Iwona zabrać pożyczone śpioszki. Jak wyszła, pojechałam do Brzeźna po zakupy. Przed sklepem gospodarstwa domowego stało trzech panów, jeden powiedział, że może odstąpić pralkę automatyczną, żeby tylko przyjść o 11.00 z pieniędzmi przed sklep. Zaraz pomyślałam o Iwonie, bo nieraz żaliła się, że nie ma tej pralki. Wróciłam do domu, zostawiłam córkę z sąsiadem i poszłam do Iwony. Spotkałam ją na schodach, zaprosiła mnie do mieszkania...

Usiadły — gospodyni na kanapie narożnej, przybyła na fotelu. Dziecko spało w łóżeczku obok. Rozmawiały. Iwona powiedziała, że właśnie wczoraj wzięła około miliona złotych kredytu dobrze więc się składa z tym zakupem. Podeszła do regału, zaczęła odliczać pieniądze.

W tym momencie Mariola wyszła do kuchni napić się wody.

Mówi dalej sprawczyni:

— Kiedy piłam, zobaczyłam leżący na stole długi nóż do chleba z czarną rączką. Wzięłam go i wróciłam do pokoju...

Bez słowa, od razu zaczęła zadawać ciosy. W plecy, klatkę piersiową, gdzie popadło, cięła leżącej już koleżance nadgarstki, głucha na błagalne prośby „zostaw mnie, mam małe dziecko". Twierdzi zresztą, że nie pamięta szczegółów. Potem poszła umyć się, skaleczoną, krwawiącą rękę zawinęła w pieluszkę, przebrała się w pożyczoną kiedyś Iwonie swoją sukienkę, narzuciła kurtkę Iwony. Zabrała około 900 tysięcy złotych, 7 dolarów i nóż. Zamknęła drzwi na klucz.

Zabrała następnie dziecko od sąsiada, parę razy wychodziła bez celu do przydomowego ogródka. Wreszcie wyprowadziła z garażu samochód, wsadziła dziecko, wózek, pod siedzenie wsunęła skradzione przedmioty i pojechała na działkę, gdzie była umówiona z matką. Tam nie mówiła ani nie robiła niczego szczególnego czy nietypowego.

Iwona przeżyła.

NA PRZEKÓR

działów dochodzeniowych oraz śledczych zawsze twierdzili, że efekty zwalczania łapownictwa uzależnione są w olbrzymiej mierze od rozbicia solidaryzmu między stronami: dającą i przyjmującą. Bliskie były nawet rozwiązania prawne w tej dziedzinie. Ale proces zamierzonej legislacji został „zakrakany" przez tych, którzy chcieliby zjadać pieczenie bez zabijania wołów. Uważali oni zapewne, iż moralniejsze jest powszechne łapownictwo aniżeli karanie za te czyny tylko osób przyjmujących (i na ogół — żądających). Twierdzili, że to rozzuchwaliłoby skłonnych do dawania.

Mocno nie sprzyja również zwalczaniu łapownictwa obecna polityka stosowania środków zapobiegawczych w toku postępowań przygotowawczych. Niełatwo jest bowiem znaleźć dowody osobowe, one zaś są dominującymi przeciwko podejrzanym o łapownictwo, przebywającym na wolności, zwłaszcza gdy podejrzani pełnią nadal eksponowane funkcje.

Podstawą, niemal stuprocentową, wszystkich śledztw i dochodzeń o łapownictwo są materiały uzyskane operacyjnie. Oto niektóre sprawy z 1989 roku:

Funkcjonariusze WUSW w Białymstoku zakończyli postępowanie przygotowawcze o przyjmowanie korzyści majątkowych przez W. K. — pracownika Urzędu Wojewódzkiego. W śledztwie udowodniono podejrzanemu, iż od września 1985 roku do października 1987 r. ww. pełniąc służbę sekretarza wojskowej komisji poborowej, za pieniądze wystawiał fałszywe orzeczenia dotyczące złego stanu zdrowia niektórych poborowych. Za łapówki wydawał również zobowiązanym do zasadniczej służby wojskowej zezwolenia na wyjazd za granicę. W ten sposób cofał też karty powołania. Łączna wartość przyjętych korzyści majątkowych wynosi 1 150 000 zł i 165 dolarów USA.

Funkcjonariusze WUSW w Piotrkowie Trybunalskim zakończyli śledztwo przeciwko prezesowi Zarządu Międzyzakładowego Ludowego Klubu Sportowego oraz kierownikowi sklepu przyzakładowego. Obydwaj panowie brali łapówki za ułatwianie zakupu płytek ceramicznych. Udowodniono im przyjęcia korzyści majątkowych na kwotę 1 002 938 zł. U podejrzanych zabezpieczono mienie wartości blisko 6 500 000 złotych.

Funkcjonariusze WUSW w Jeleniej Górze prowadzą postępowanie przygotowawcze przeciwko M. G., inspektorowi ds. pogrzebowych Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej o to, iż wraz z grupą innych osób przyjął korzyści majątkowe na kwotę 1 800 000 złotych. Łapówki brano za możliwość wybierania miejsca pochówku oraz inne preferencje, związane jednak z doczesną, a nie pozagrobową drogą zmarłych. Przy okazji podejrzanym udowodniono zagarnięcie 1 200 000 zł na szkodę PGM.

Dotychczasowa praktyka funkcjonariuszy MO wskazuje, że wykrywalność spraw łapowniczych zależy od szybkości milicyjnego działania. Z kolei ta szybkość zależy prawie wyłącznie od jakości pracy operacyjnej. A główną cechą pracy operacyjnej musi być dobre rozpoznanie, a więc znajomość sytuacji w urzędach i instytucjach mających rozległe kompetencje decyzyjne.

Jak twierdzi naczelnik wydziału w Biurze Dochodzeniowo-Śledczym KG MO ppłk Marek Szczepkowski, najtrudniejsze w dziele ujawniania łapownictwa są początki. Zwłaszcza w pozyskiwaniu świadków bezpośrednich.

Procesowe sukcesy w sprawach o łapownictwo zależą też w znacznym stopniu od właściwego dokumentowania przesłuchań świadków. Zarówno przesłuchujący, jak i przesłuchiwani muszą wiedzieć, że jest to niezwykle ważne. Sprzedajny urzędnik kapituluje, gdy można mu szczegółowo dowieść, jak wyglądała sceneria podczas przyjmowania łapówki, jak wyglądał portfel sprzedajnego urzędnika oraz inne tzw. drobiazgi. W gruntownym rozliczeniu podejrzanego o łapownictwo, środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania jest wręcz niezbędny. Można go uzyskać zaczynając od w pełni umotywowanych wniosków o zezwolenie na przeszukania: biurowe, osobiste i mieszkaniowe. Trzeba prokuratorowi wyraźnie przedstawić, co funkcjonariusze spodziewają się podczas przeszukań znaleźć.

Dokonujące się zmiany sprzyjają nowym rozwiązaniom prawnym. Czy więc nie należałoby podjąć na nowo inicjatywy ustawodawczej zmierzającej do rozbicia jedności pomiędzy stronami łapowniczego procederu?

EDWARD NOWAK

Przypadek to, zrządzenie losu, cud? Trudno orzekać, dość powiedzieć, że zaledwie w kilkanaście minut po wyjściu Marioli, niespodziewanie pod drzwiami zjawili się dwaj koledzy męża Iwony, którzy przywieźli sprzęty potrzebne do przygotowywanego remontu. Po parokrotnym, energicznym stukaniu usłyszeli wydyszane ostatkiem sił „ratujcie..."

Potem zapadła cisza.

Natychmiast wyważyli drzwi i ujrzeli nieprzytomną dziewczynę w kałuży krwi. Purpurowe ślady znaczyły całą trasę, jaką pokonała czołgając się do przedpokoju.

Pogotowie, szpital, transfuzje, wysiłki lekarzy uwieńczone sukcesem. Ogółem doliczono się aż 21 ran kłutych drążących do wnętrza (w tym jedna bardzo niebezpieczna w pobliżu serca) oraz ciętych. Upływ krwi był bardzo znaczny, o życiu Iwony zdecydowały minuty.

Mówi Mariola:

— Nie potrafię powiedzieć, dlaczego wzięłam nóż i uderzyłam Iwonę. Nie potrafię powiedzieć, czy chodziło o pieniądze. Nie wiem, co się ze mną stało. Nie miałam poważnych kłopotów finansowych, gdy miałam trudności, pomagali mi rodzice. Biorąc te pieniądze Iwony, nie myślałam, na co mi są one potrzebne. Nie miałam żadnego określonego celu. Nie potrafię powiedzieć, czy biorąc nóż, chciałam zabić Iwonę, ale myślę, że jak ktoś bierze nóż, to chyba chce tak zrobić. Nie miałam żadnej urazy do Iwony, nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Myślę tylko o tym, żeby Iwona przeżyła.

Płacze.

Mąż Marioli był kiedyś piłkarzem „Lechii", potem klub zrezygnował z niego i nie wiodło mu się już tak znakomicie. Choć w dalszym ciągu lepiej niż przeciętnej młodej rodzinie. Do małżeństwa i ojcostwa chyba jednak nie dorósł, wciąż podkreśla, że tylko on łoży na dom, w związku z tym wszystko tu jest jego. Trzymał kasę, decydował o wydatkach, ba, on jedynie palił caro, żonie wydzielał pieniądze na najtańsze papierosy.

Mówi koleżanka Marioli:

— Ona nie miała prawa palić jego papierosów, w przypadku, gdy nie posiadała swoich. Wydaje mi się, że była pod presją, ciągle ulegała mężowi. Była taka bierna. Również o samochód musiała dbać, załatwiać naprawy, on niczego przy samochodzie nie robił.

W mieszkaniu Iwony przeprowadzała jeszcze oględziny ekipa milicyjna, gdy o 14.30 zjawiła się Mariola.

— Co się stało? — spytała.

— Zaraz się dowiesz! — odpowiedziała zapłakana matka Iwony.

Dziewczyna zwiesiła głowę, wyjęła z torby pieniądze i nóż.

Mówi Mariola:

— Obecnie wydaje mi się, że w ogóle tam nie byłam. Chodząc w ciąży, zarówno teraz, jak i poprzednio, bywałam rozkojarzona, nieobecna jakby dla otoczenia, przebywałam wówczas prawie zawsze w domu. Było to takie zobojętnienie...

Ze względu na ogólny stan zdrowia lekarze nie wyrazili zgody na zatrzymanie Marioli w areszcie. Psychiatrzy orzekli po dokonanych badaniach i obserwacji, że sprawczyni może w pełni odpowiadać za usiłowanie zabójstwa swej koleżanki. Po urodzeniu dziecka nadal przebywała w domu w oczekiwaniu na rozprawę sądową. Znosiła swą sytuację z apatią i rezygnacją. Rodzice jej są przerażeni i zszokowani, ojciec jeździł do szpitala z kwiatami dla Iwony, próbował rozmawiać, usprawiedliwiać córkę.

Już po fakcie widziały się przypadkiem. Iwona boi się swej dawnej koleżanki. Boi się ludzi w ogóle, patrzy nieufnie w wizjer, dopytuje po kilka razy „kto tam". Rany zagoiły się, ale pozostał straszliwy lęk i rozległe blizny. Iwona spogląda na pokiereszowane ciało, wyciera napływające do oczu łzy i znów rozpamiętuje całą sprawę, zastanawia się — dlaczego ją to spotkało.

Były koleżankami, mają małe dzieci, z którymi chodziły na spacery, Mariola nie miała o nic żalu do Iwony...

JOLANTA ŚLIFIERZ

ZAGRANICZNA KRONIKA POLICYJNA

● Współpraca policyjna Francja—ZSRR

W ostatnich dniach grudnia 1989 roku, na zaproszenie Wadima Bakatina, ministra spraw wewnętrznych ZSRR, oraz gen. Goworowa, wiceministra obrony i szefa obrony cywilnej kraju, z kilkudniową wizytą w Związku Radzieckim przebywał francuski minister spraw wewnętrznych Pierre Joxe.

Pierre Joxe był pierwszym ministrem spraw wewnętrznych państwa Europy Zachodniej, który złożył oficjalną wizytę w ZSRR przebywając w Moskwie, Tule i Leningradzie. Z kierownictwem radzieckiej milicji Pierre Joxe ustalił zasady ściślejszej współpracy w zakresie zwalczania przestępczości kryminalnej, a w szczególności międzynarodowego handlu narkotykami. Ponadto Francja ma udzielić pomocy resortowi spraw wewnętrznych Związku Radzieckiego w organizacji, wyposażeniu technicznym oraz szkoleniu specjalistycznym służb porządkowych.

● Lui Arce Gomez wydany USA

Były minister spraw wewnętrznych Boliwii, Lui Arce Gomez został ujęty i nazajutrz władze boliwijskie wydały go Stanom Zjednoczonym, gdzie tamtejszy wymiar sprawiedliwości w 1983 roku skazał zaocznie Gomeza na 15 lat pozbawienia wolności za handel narkotykami.

Przez wiele lat ścigany międzynarodowym listem gończym, rozesłanym przez Interpol, Lui Arce Gomez był nieuchwytny.

● Kolejne odroczenie egzekucji

Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych postanowił ponownie odroczyć egzekucję Daltona Prejeana, skazanego 12 lat temu przez trybunał karny Luizjany na karę śmierci za zabójstwo amerykańskiego policjanta. W chwili popełnienia zbrodni Dalton Prejean miał 17 lat.

W czerwcu ub.r. Sąd Najwyższy USA postanowił przywrócić karę śmierci wobec młodocianych zbrodniarzy w wieku ponad 16 lat.

oprac. MARIAN OWCZAREK

Na uniwersytecie w Montrealu (Kanada) pewien szaleniec zastrzelił z pistoletu maszynowego czternaście studentek, a trzynaście innych ciężko ranił. Po tej największej w ostatnich latach zbrodni szaleniec odebrał sobie życie z posiadanej broni.

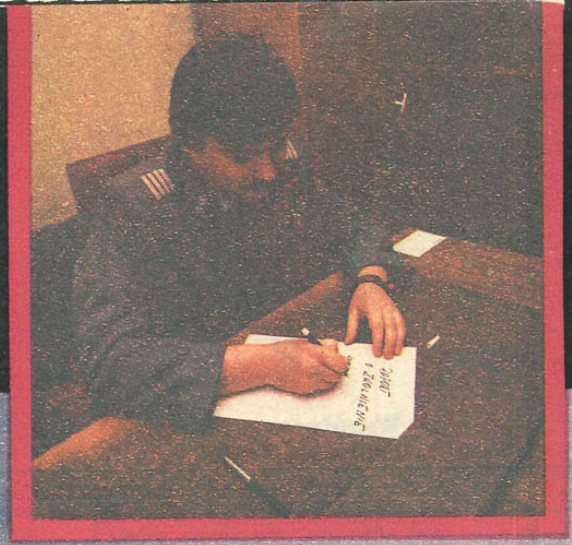

W milicji przeszedł prawie wszystkie szczeble służbowej hierarchii. Od szeregowego milicjanta przez referenta, dzielnicowego, inspektora do komendanta komisariatu MO pierwszej kategorii (odpowiednik mniej więcej szefa dzielnicy w Warszawie). Kiedy zbierałem materiał do tego artykułu, w kadrach leżał już jego raport o zwolnienie z pracy. Miał dość robienia lipy.

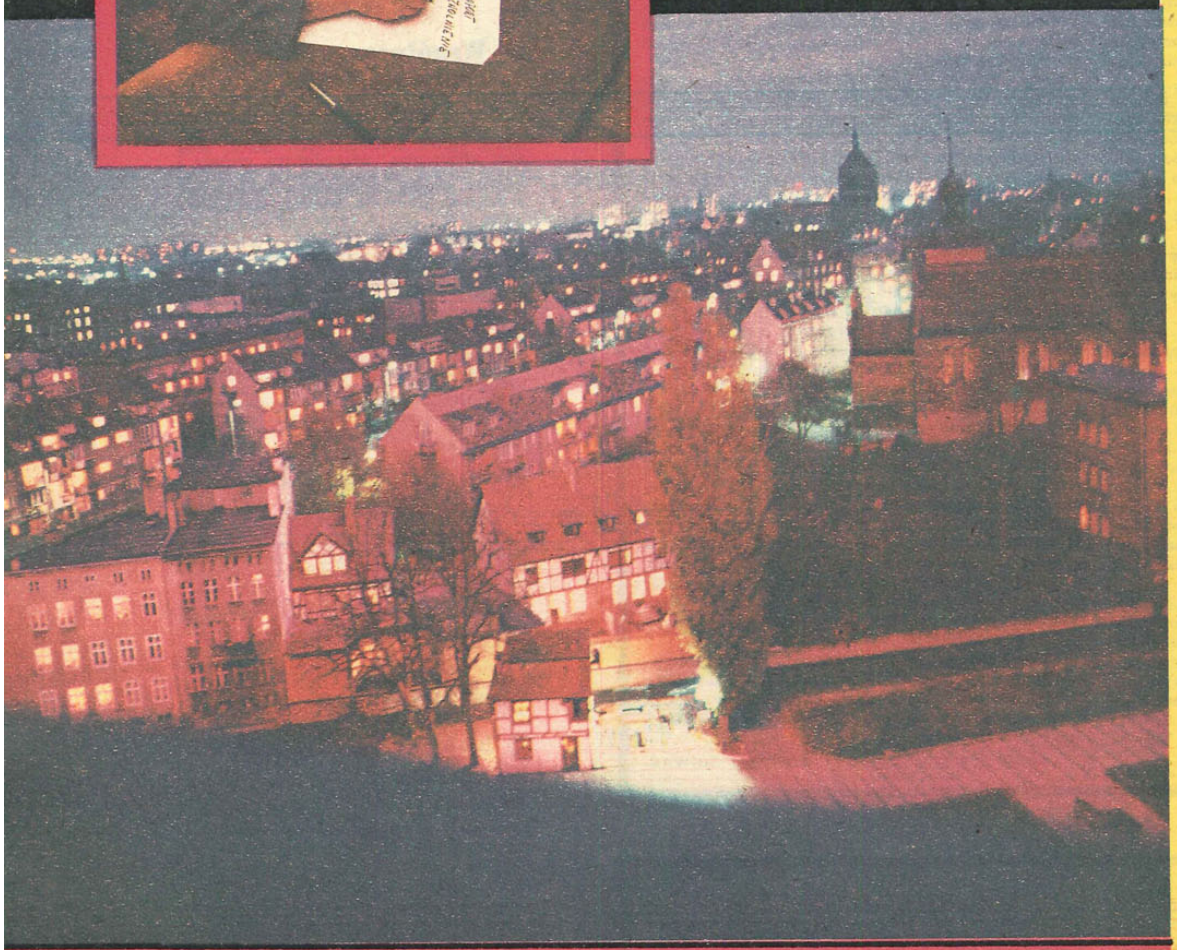

Dlaczego odchodzą?

W czasach, gdy był jeszcze dzielnicowym w Gdańsku-Wrzeszczu, mieszkało tam 80 tys. ludzi. Komenda Dzielnicowa MO miała ponad 100 etatów i prowadziła około 800 spraw kryminalnych rocznie. Kiedy został tu szefem, nie było już komendy dzielnicowej. Był i jest komisariat MO z 73 etatami. Liczba mieszkańców wzrosła dokładnie dwukrotnie (160 tys.), a przez ostatnie 4 miesiące na przełomie roku wszczęli ponad tysiąc spraw kryminalnych. Do ich prowadzenia zostało obecnie 6 ludzi. Rejestracją przestępstw zajmują się już nawet zastępcy komendanta. Dzienna partia wynosi od 50 do 70 postępowań.

Kiedyś istniała np. sekcja ogólna z kierownikiem, sekretarką, maszynistką i 2 pracownikami. Obecnie ich czynności wykonuje jedna osoba, która dodatkowo prowadzi jeszcze archiwum, zajmuje się zaopatrzeniem i wypłatami pieniędzy.

Od czasów reorganizacji nie ma etatu pomocnika dyżurnego. Toteż jedna osoba odbiera dziennie od 500 do 600 telefonów, wysyła i przyjmuje kilkadziesiąt telefonogramów, obsługuje setki interesantów. Ci ostatni zgłaszają się masowo w godzinach rannych, ustawiają się w kolejce, by zgłosić zameldowanie, że ich okradziono, pobito, napadnięto.

Na początku myśleli, że to przejdzie, że reakcja góry nastąpi natychmiast, że szef WUSW coś zrobi. Niestety, nie doczekali się. Więc nie wytrzymali. Nie mogli znieść bylejakości swojej pracy, związanych rąk, bezsilności. Jak z rogu obfitości posypały się raporty o zwolnienie z MO. Powód był jeden i ten sam: niemożność dalszego wykonywania obowiązków służbowych w tych warunkach. Ostatni (jak dotąd) raport napisał komendant, kpt. Jan Wośko, milicjant z krwi i kości.

— To, co robię, to mistyfikacja pracy — mówi sierż. Jan Popowicz z sekcji kryminalnej. — Jutro mam zatrzymać złodzieja. Wiem gdzie i o której godzinie będzie przebywał, ale jest mało prawdopodobne, żebym mógł tam pojechać, bo do jutra wydarzy się jeszcze 5 ważniejszych spraw. Pomijam już fakt, że w wiadome mi miejsce o godz. 6.30 musiałbym jechać tramwajem i w taki sam sposób wracać tutaj z zatrzymanym niebezpiecznym przestępcą i z zakwestionowanym przy nim łupem.

— Od kogo pożyczył pan maszynę do pisania? — pyta komendant.

— Kalicki się rozchorował, więc skorzystałem z okazji, ale zaraz muszę oddać. Przecież pan wie, że jest tylko jedna na całe piętro.

— Kiedy ostatnio otrzymał pan jakąś pomoc z WUSW?

— Pomoc czy kontrolę? Jak tu pracuję (17 lat), nie pamiętam, żeby mi ktoś pomagał. Za to kontrola była całkiem niedawno. Zabrali mi mnóstwo czasu, pokiwali głowami i poszli.

— A kiedy ostatnio działał pan operacyjnie?

— Co pan, komendancie? Przecież my tu siedzimy nad papierami od rana do nocy. Jak mam tylko 10 włamań dziennie do przerobu, to uważam to za niedzielę lub wolną sobotę.

— Kiedy ostatnio miał pan wolne?

— Jak bym wziął wolne, to przez następny miesiąc nie nadrobiłbym powstałych w tym okresie zaległości.

— ...

— Panie, ja nie wiem, co tu mówić — dodaje sierżant po chwili bezpośrednio do mnie. —

Nam się tu ręce trzęsą. Pracuję 17 lat w MO, ale czegoś takiego jeszcze nie było. Milicjant to teraz największy śmieć nawet dla najgorszego lumpa. Nie panuję nad sytuacją, nie nadążam kierować wniosków o umorzenie...

Plut. Kazimierz Kaszubski jest jednym z najlepszych dzielnicowych i, jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, ma najtrudniejszą dzielnicę we Wrzeszczu z 15 tysiącami mieszkańców (zgodnie z obowiązującymi jeszcze przepisami maksimum wynosi 3 tys. na głowę). Ostatni raz w dzielnicy był w... czerwcu ub. r. Prowadzi obecnie 140 postępowań przygotowawczych, nie mówiąc o dziesiątkach pozostałych obowiązków dzielnicowego. Przez 6 lat swojej pracy jeszcze nigdy nie wziął zwolnienia lekarskiego i nigdy... nie skorzystał ze służbowego samochodu.

— Napisałem raport o zwolnienie z organów MO — mówi plut. Kaszubski. — Dłużej już nie mogę. W dzielnicy traktują mnie jak powietrze. Dobrze wiedzą, że nic nie mogę zrobić. W

melinach pijackich i złodziejskich śmieją mi się w oczy. Powinienem zwolnić się już dawno, ale komendant apelował do nas. „Nie martwcie się — mówił — przetrzymajcie, społeczeństwo samo zrozumie, do czego prowadzi anarchia, samo przyjdzie do nas z prośbą o pomoc, a rząd przyzna nam odpowiednie uprawnienia". Dotąd wierzyłem komendantowi, ale...

— Nie zwalniam się dlatego — kontynuuje dzielnicowy — że mi za ciężko wstawać o godz. 5.30 i wracać do domu około godz. 20.00. Ale dlatego, że nie jestem już w stanie nic zrobić. Odchodzę z zawodu, który naprawdę pokochałem...

— Dzisiaj, żeby utrzymać porządek w Gdańsku-Wrzeszczu — mówi komendant kpt. Jan Wośko — powinny funkcjonować co najmniej 3 takie jednostki, jak nasza. Bez sekcji SB, ale za to z brygadą wywiadowców prewencyjnych, operacyjnych, z sekcją dochodzeniową i pełnymi składami dzielnicowych mających po 3 tys. mieszkańców na głowie. Z tak skrzętnie prowadzonej w naszym resorcie statystyki wynika czarno na białym, że III Komisariat MO w Gdańsku rocznie prowadzi tyle samo spraw co RUSW w: Pruszczu, Starogardzie, Tczewie, Wejherowie, Pucku i Kartuzach razem wzięte. A przecież pracownicy tamtych jednostek biorą te same pieniądze. Gdzież tu logika, gdzie reakcja na tak skrupulatnie gromadzone dane statystyczne?...

— Moja liczba dziennika w ub. r. przekroczyła 4 tysiące — mówi por Maria Kaźmierczak, inspektor ds. nieletnich. — W tej sytuacji zajmuję się li tylko papierami, numerkami wszczęcia, rejestrem spraw i dochodzeń, wypełnianiem druków statystycznych i informacyjnych. To wszystko. Przez ostatnie pół roku 3 razy byłam w dzielnicy. Czy tak ma wyglądać praca inspektora policji?

— Nam nie jest potrzebny ani WUSW, ani MUSW — kontynuuje komendant. — Tamte etaty wystarczyłoby przenieść tutaj. Byłaby możliwość stworzenia grup szybkiego reagowania. Zostawmy wreszcie sprawy administracyjne, a skierujmy wszystkie siły na zatrzymanie rosnącej w przerażającym tempie fali przestępczości.

Dlaczego od lat nie mogę doprosić się od WUSW choćby jednego samochodu do działań operacyjnych? Czy wożenie szefa lub jego zastępców na konferencje jest ważniejsze od pracy wykrywczej milicji? Przecież ja nie chcę dla siebie, to nie mój prywatny folwark.

Od dawna apelowałem w WUSW — kontynuuje kpt. Wośko. — Mówiłem, że zbliża się katastrofa. „Nie martwcie się towarzyszu, będzie lepiej" — poklepywano mnie po ramieniu. Kiedy trwała walka polityczna, tworzono w SB wydział za wydziałem, zabierano ludzi z MO. A zagrożeniem przestępczością kryminalną nikt nigdy się tak naprawdę nie przejmował.

Ludzie pytają mnie, co wy robicie, żeby zlikwidować obecne zagrożenie. Co mam im odpowiedzieć? Radzę, żeby nie wychodzili wieczorem z domu, żeby zawsze ktoś był w mieszkaniu, żeby stworzyli grupy do pilnowania swoich samochodów. „No to po co wy jesteście" — pytają i mają rację.

Pokochałem ten zawód — mówi po chwili komendant. — Poświęciłem dla niego całe swoje życie, łącznie z rodziną, co skończyło się zresztą rozwodem. Odchodzę, bo jestem już bezsilny, nie wytrzymuję tej bylejakości w pracy i jest to moją największą osobistą tragedią.

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI
zdj. autor

PS Już po napisaniu tego materiału, po zmianach, jakie zaszły w Gdańsku, kpt. Jan Wośko wycofał swój raport. Nie potrafił rozstać się z pracą w MO. Nadal pełni funkcję komendanta III Komisariatu MO w Gdańsku-Wrzeszczu. Może już niedługo wrócą też jego podwładni?

SYFONEM W KSIĘDZA

Dyżurny jednostki milicyjnej nie miał wątpliwości, iż rzecz jest poważna. Zawiadomiono o napadzie na mieszkanie księdza zatrudnionego w kościele jednego z nierzymskokatolickich związków wyznaniowych. Rabusie zbiegli zabierając magnetowid „Otake", radiomagnetofon „Sharp" i budzik elektroniczny. Straty szacowano na 1,2 miliona złotych.

Duchownego odwieziono do szpitala. Czterokrotnie uderzony w głowę syfonem pełnym wody, poza guzami i otarciami naskórka nie odniósł obrażeń zagrażających życiu. Na metalowym korpusie naczynia pozostały natomiast głębokie wgniecenia. Ksiądz miał twardą czaszkę.

Jego relacja brzmiała następująco: 18 lutego 1989 r., około godziny 23.00, ktoś zadzwonił do drzwi jego mieszkania. Mimo późnej pory otworzył i został znienacka zaatakowany przez dwóch nieznanych mężczyzn. Co było dalej, nie pamięta. Dodał, że przez całą sobotę nigdzie nie wychodził i nikogo nie przyjmował.

— W tym momencie — opowiada ppor. Robert Bosek z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego WUSW we Wrocławiu — poczułem do niego brak zaufania. Sąsiedzi bowiem scharakteryzowali księdza jako człowieka niezwykle ostrożnego, nieufnego w stosunku do obcych. Drzwi zamykał zawsze na łańcuch, zwalniał go, gdy był pewny tożsamości przybyłych osób. Ponadto podczas oględzin mieszkania spostrzegłem na stoliku szklanki i talerzyki z ciastkami, świadczące o podejmowaniu gości. Zastanawiało mnie więc, dlaczego poszkodowany wymiguje się od podania prawdy?

Nazajutrz ksiądz zmienił zeznania. Oświadczył, że wpuścił nieznajomych do przedpokoju, gdyż jeden z nich zasłabł i błagał o wodę. Kiedy wrócił do nich ze szklankami, wydarli mu syfon z rąk i ogłuszyli. Odmawiał odpowiedzi na szczegółowe pytania, zasłaniając się bólem głowy.

Podczas kolejnej wizyty w szpitalu podporucznik Bosek usłyszał jeszcze inną wersję zdarzenia. Napadnięty przyznał, iż zaprosił obu mężczyzn do pokoju. Pamiętał, że kurtki powiesili na wieszaku. Nie pamięta natomiast, jak wyglądali i czy widział ich kiedykolwiek. Wreszcie w obliczu wykazanych mu niekonsekwencji i sprzeczności w zeznaniach przyznał, że jednego z chłopaków zna. Wie, że ma on na imię Wojtek, nosi nazwisko zaczynające się prawdopodobnie na literę „O" i mieszka gdzieś pod Obornikami Śląskimi.

— Nie było tego wiele, jak na punkt zaczepienia — przyznaje podporucznik. — Wybraliśmy się jednak w tamte strony z kpt. Leonem Cząstkiewiczem i kpt. Januszem Dudkiewiczem. Objechaliśmy pięć wsi pytając o owego Wojtka. Nikt nie umiał nam pomóc. Już po ciemku mijając szkołę gminną zobaczyliśmy światła w oknach. Pomysł, by wstąpić okazał się strzałem w dziesiątkę. Dowiedzieliśmy się, że niegdyś uczęszczał tutaj taki chłopak z Wielkiej Lipy. Dotarliśmy tam późno w nocy. Matka powiedziała nam, że syn przebywa we Wrocławiu w hotelu „Pafawagu" na ulicy Budziszyńskiej.

W zajmowanym przez 19-letniego Wojciecha O. pokoju odkryto wszystkie skradzione duchownemu przedmioty. Naprzeciwko mieszkał jego kompan, o rok starszy Marek S.

Obaj przyznali się do przedstawionych zarzutów i opowiedzieli własną wersję wypadków. Księdza znali wcześniej. W przeddzień napadu umówili się z nim na seans filmów pornograficznych. Zjawili się przed dwudziestą z postanowieniem zrabowania wideo. Podczas oglądania mocniejszych scen ksiądz zaczął się podniecać. Wtedy Wojtek chwycił za syfon. Obezwładnionego gospodarza związali przyniesionym ze sobą sznurem i owinęli w kołdrę.

W wyniku pracy dochodzeniowej wyszło na jaw, iż Wojciech O. ma na sumieniu cztery rozboje, w tym trzy dokonane przy użyciu niebezpiecznego narzędzia. Marka S. obciążają dwa rozboje z nożem w ręku i napad mieszkaniowy. Pokrzywdzonymi w każdym wypadku byli homoseksualiści. Sprawcy wiedzieli, że ich ofiary w obawie przed kompromitacją nie powiadomią organów ścigania albo w razie ujawnienia przestępstwa ukryją niektóre okoliczności.

„Klientów" szukali przy szalecie na Wzgórzu Partyzantów albo Wzgórzu Polskim. Jeden grał rolę wabika, drugi w sposobnej chwili atakował. Zdzierali z ofiar kurtki, kożuchy, zabierali zegarki. Większość skradzionych dóbr odzyskano.

ADAM K. PODGÓRSKI

Kryptonim 6 „METROPOL"

NAJMRODZKI STORY

ŁUKASZ TOM

Zdzisław Najmrodzki, jak przystało na profesjonalnego przestępcę niezbyt rozmowny jest w czasie przesłuchania, jeszcze mniej mówi podczas spotkań z dziennikarzami. Jednak autorowi poprzednich odcinków Wiesławowi Pietryce udało się nakłonić „Saszłyka" do zwierzeń, o czym można się było przekonać po lekturze nr. 14 „Wsn" z 7 kwietnia 1985 r. Przypomnijmy niektóre fragmenty, zwłaszcza te odnoszące się do jego słynnych ucieczek z miejsc odosobnienia.

— „Odgrażał się pan, że ucieknie przy najbliższej okazji.

— To było dawno, jeszcze przy poprzednim zatrzymaniu. Mówiłem tak na złość funkcjonariuszom więziennym, bo mnie lekceważyli i źle traktowali. A w ogóle to wokół mnie stworzono legendę o tych wszystkich ucieczkach.

— No, ładnych parę razy pan uciekał.

— Nie tak znowu często. A jeżeli, to ze względu na swoją nie najgorszą sprawność fizyczną.

— Upieram się, że jednak dość często. Policzmy te wszystkie pańskie ucieczki, zgoda?

— Proszę bardzo. Z pociągu to raz, funkcjonariuszom w Gliwicach pięć razy, od pasera raz.

— Z mieszkania kolegi w Opolu też raz.

— Pan wie, że dzwonią, ale nie ma pojęcia, w którym kościele. W Opolu zostałem zwinięty nie u kolegi, lecz w taksówce. Reszta się zgadza. Potem uciekłem z obławy, wtedy co ten milicjant złamał nogę.

(...) — Nadal przemyśliwa pan o ucieczce?

— Już dawno bym prysnął, gdyby nie Urszula. Ale do czasu rozprawy raczej nie ucieknę.

— A potem?

— Potem zobaczymy.

Z powyższych wypowiedzi można byłoby wnioskować, iż „Saszłyk" lubi bajer. Tak jednak mógłby jedynie sądzić ktoś, kto przypuszcza, że dzisiejsi przestępcy nie wyrośli jeszcze z krótkich majtek. A przecież już wkrótce po tej rozmowie, 5 lutego 1985 roku Najmrodzki ucieka ze Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Ile w tym było winy eskortującego go milicjanta? Ile zaważyły tupet i odwaga przestępcy?

Oto w pewnym momencie eskortujący i pilnowany znaleźli się sami na korytarzu. Nie spodziewający się niczego milicjant otrzymał cios w krtań, a w chwilę później jego głowa kilkakrotnie uderzyła o mur — oczywiście dzięki „troskliwości" Najmrodzkiego. Nieprzytomnemu przestępca zabiera marynarkę i posługując się legitymacją służbową funkcjonariusza najspokojniej opuszcza milicyjny gmach.

Nie trzeba w tym miejscu chyba dodawać, iż mimo postawienia na nogi całego stanu osobowego warszawskiej milicji uciekiniera nie znaleziono.

Następnego dnia, przez środki masowego przekazu zaapelowano do społeczeństwa o pomoc w ujęciu groźnego przestępcy.

Pierwszy sygnał o podejrzanym osobniku odebrano 1 marca. Po sprawdzeniu informacji okazało się, że w obstawionym domu przy ul. Nowolipie, we wskazanym mieszkaniu ujęto... poszukiwanego dotąd bezskutecznie inżyniera Antoniego Wolańskiego. Podczas przeszukania znaleziono ukryte walory w złocie, pół miliona złotych oraz 1250 dolarów USA. Część z nich okazała się falsyfikatami, najprawdopodobniej wydrukowanymi we Włoszech.

Miejsce ukrywania się Najmrodzkiego odkryto w siedemnaście dni później. Jak i poprzednim razem budynek został zamknięty szczelnym kordonem milicjantów po cywilnemu. Ponieważ istniała obawa, że Najmrodzki może być uzbrojony, wszyscy otrzymali polecenie wzięcia ze sobą broni służbowej.

— Do wskazanego mieszkania — zezna później jeden z milicyjnych komandosów — weszliśmy dokładnie o 14.10. Ponieważ liczył się moment zaskoczenia, zrezygnowaliśmy z pukania do drzwi, które o wyznaczonej godzinie wyleciały z hukiem z zawiasów. Najmrodzkiego znaleźliśmy w pokoju w chwili, gdy kończył jeść posiłek. Nie stawiał oporu. Kiedy konwojowaliśmy go do SUSW próbował nawet tłumaczyć się, że poturbowanemu milicjantowi odesłał już marynarkę i legitymację służbową.

Podczas rozprawy przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie prokurator zarzucił oskarżonemu dokonanie licznych włamań do mieszkań i prywatnych samochodów. Ogółem wyliczone przez sąd straty poszkodowanych wyniosły niemal 54 mln zł.

Najmrodzki przyznał się jedynie do popełnienia 48 przestępstw. Resztę obciążających go win starał się zrzucić na kolegów, próbując w ten sposób przedstawić się w bardziej korzystnym świetle. Niedawni przyjaciele nie pozostali mu dłużni oświadczając podczas przesłuchań:

— „Ja wiem, że od samego początku jestem pomawiany przez Zdzisława Najmrodzkiego, że popełniłem wiele przestępstw. Proszę wysokiego sądu, jemu nie można wierzyć, bo on chce wszystko zagmatwać, a potem uciec".

— „Chcę stwierdzić — zezna drugi kompan — że wszystkie wyjaśnienia Najmrodzkiego są nieuczciwe. Świństwem jest również to, co pisze o nas prasa. W dniu wczorajszym w areszcie śledczym Najmrodzki mówił do nas, abyśmy składali jak najwięcej wniosków, aby skompromitować proces i go przeciągnąć w nieskończoność".

W trakcie procesu Z. Najmrodzki posunął się do tego, że pomówił por. Bogusława Lachowskiego, jakoby ten za duże pieniądze miał ostrzegać go przed zastawianymi przez milicję na niego pułapkami i pomagał mu w ostatniej ucieczce z SUSW. Sąd nie dał temu wiary.

Nie ulegało wątpliwości, iż jedynym celem Najmrodzkiego było tak pogmatwać zdarzenia, by nikt nie mógł dojść, gdzie leży prawda, gdzie kłamstwo. Dla przykładu przywołajmy jego wypowiedź dotyczącą funkcjonariusza, którego obezwładnił, a następnie ciężko pobił.

— Opinia wydana przez biegłych co do stanu zdrowia inspektora jest niezgodna z prawdziwym stanem zdrowia milicjanta. Z łatwością mógłbym to dziś udowodnić, ale tego nie zrobię ,gdyż skrzywdziłbym funkcjonariusza, człowieka, którego darzę szacunkiem i sympatią. Tajemnica ucieczki z SUSW oraz związana z tym opinia biegłych co do stanu zdrowia milicjanta zostanie przeze mnie ujawniona po upływie trzech lat, gdy odpowiednie artykuły kodeksu karnego po tym okresie staną się bezskuteczne.

Pod koniec procesu Najmrodzki przez cztery dni z rzędu wygłaszał ostatnie słowo. Stwierdził w nim m.in., że został zatrzymany w wyniku pomówień, a przypisywane mu przestępstwa są jednym wielkim stekiem bzdur.

Podczas mowy oskarżycielskiej, w chwili gdy prokurator zażądał kary 25 lat pozbawienia wolności obecna na sali Sabina Najmrodzka krzyknęła: „Za co on tak krzywdzi mego syna"?

19 października 1987 r. Sąd Wojewódzki w Warszawie skazał Zdzisława Najmrodzkiego na 15 lat pozbawienia wolności, milion złotych grzywny, pozbawienie praw publicznych na 5 lat i konfiskatę mienia w całości. Sąd Najwyższy utrzymał wyrok sądu niższej instancji.

Pierwszym przystankiem Najmrodzkiego po zapadnięciu wyroku skazującego był Zakład Karny w Białołęce. Rzecz jednak w tym, że inne sądy również chciały zobaczyć przestępcę w swoich salach rozpraw. Tak więc Najmrodzki został przewieziony do Gliwic. Stamtąd miał zostać doprowadzony do Sądu Wojewódzkiego w Katowicach.

Czas lubi zataczać kręgi i być może Czytelniku przyszło Ci po wielu latach znaleźć się w tych samych miejscach podczas identycznej, co niegdyś, sytuacji. Tak przynajmniej było z Najmrodzkim, który wylądował w gmachu sądu, z którego przed laty dał już nogę.

Przebywając w Areszcie Śledczym przestępca lojalnie ostrzegał, że swój pobyt za murem uważa jedynie za chwilowy. Słowa jego zostały wzięte pod uwagę, a mimo to po 18 miesiącach pobytu za kratą podczas jednego ze spacerów nieoczekiwanie zapadł się pod ziemię i wydrążonym przez kumpli korytarzem zwiał sprzed nosa strzegących go wartowników. Gdyby istniał u nas odpowiednik księgi Guinnessa jego ucieczkę można by zaliczyć do najfinezyjniejszych operacji uwolnienia skazanego w całej historii powojennej Polski.

Wkrótce też w przestępczym światku rozeszła się plotka jakoby Najmrodzki został przerzucony wraz ze złotem, które systematycznie oszczędzał w tylko sobie wiadomym „banku" ziemskim. Atoli uciekinier niespodziewanie odnalazł się w Krakowie, gdzie został (przypadkowo?) zatrzymany, kiedy po pijanemu opuszczał motel „Krak".

Czy to już koniec tej (nie ma co ukrywać) gangsterskiej opowieści, którą napisało samo życie?

Na razie przestępca milczy, nie informując nikogo o swoich dalszych życiowych planach. Chociaż znając jego dotychczasowe postępowanie należy sądzić, że niedawne ujęcie niekoniecznie musi wpłynąć na zmianę charakteru jednego z najgroźniejszych przestępców byłej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Z różnych szuflad

● W roku 1951 w Instytucie Wiedzy Policyjnej na Uniwersytecie w Louisville, w stanie Kentucky zorganizowano specjalne kursy mające na celu zwiększenie zdolności obserwacyjnych policjantów. Stwierdzono bowiem, że odpowiednio ćwiczone oko może odbierać wrażenia w ciągu ułamka sekundy. W półzaciemnionym pokoju wyświetlano uczestnikom kursów różne obrazy w czasie 1/100 sekundy. Bezpośrednio po każdej projekcji opisywali oni to, co widzieli. Wady wzroku stwierdzono u 25 proc. uczestników kursów.

*

● 8 października 1958 r. registratura daktyloskopijna w USA zawierała 150 mln kart. Jubileuszowa karta należała do pewnego skauta, który złożył odciski palców w związku z nadaniem mu odznaki harcerskiej. FBI rozpoczęło kompletowanie zbioru w roku 1924, przejmując 810 tysięcy kart daktyloskopijnych od Międzynarodowego Związku Szefów Policji. Karty ułożone obok siebie zajęłyby 3/4 obwodu kuli ziemskiej.

*

● W latach 1950 i 1951 opinią publiczną w Stanach Zjednoczonych wstrząsnęły fakty ujawnione przez Komisję Senacką do Badania Zorganizowanej Przestępczości. Robert F. Kennedy, doradca prawny Komisji Senackiej, stwierdził, że z nieczystych interesów związanych z organizacją pracy najemnej świat podziemny czerpał miliard dolarów rocznie.

*

● Utrzymanie aparatu państwowego powołanego do ochrony bezpieczeństwa i porządku publicznego oraz zwalczania przestępczości (policja, prokuratura, sądy, więzienia) pochłania ogromne sumy. W przemówieniu wygłoszonym w Los Angeles 25 sierpnia 1958 r. J. Edgar Hoover, dyrektor FBI, ocenił na 22 miliardy dolarów koszt walki z przestępczością.

J.B.

Ze skargą do szefa

ŚCIANA PŁACZU

Henryk Makarski

— Panie oficyjerze, taż ratuj pan, bo syn mnie całkiem zabije, całkiem! — płacze 75-letnia mieszkanka wsi położonej niedaleko Opola Lubelskiego. Jej 40-letni syn od dawna znęca się nad nią fizycznie i moralnie. Za zgwałcenie matki (!) był aresztowany, ale po złożeniu przez prokuratora aktu oskarżenia sąd uchylił areszt. Synek skwapliwie skorzystał z sądowej liberalizacji prawa karnego i... już pierwszej nocy na wolności pobił matkę, siostrę wyrzucił z domu, a budynki mieszkalne podpalił. Pokrzywdzona staruszka prosiła na wszystkie świętości, by zwyrodnialca zatrzymać, ale lokalne władze zasłaniały się decyzją sądu, która — ich zdaniem — zapewniała mu coś w rodzaju nietykalności.

Przyjechała więc do Lublina szukać sprawiedliwości w województwie. Telefoniczna interwencja kierownika sekcji skarg i wniosków WUSW spowodowała, że prezes Sądu Rejonowego w Opolu Lubelskim wydał odręczną decyzję o zatrzymaniu awanturnika i podpalacza oraz ponownym zastosowaniu środka zapobiegawczego w postaci tymczasowego aresztowania. Kto wie, czy w ten sposób nie uratowano staruszce życie... Faktem jest, że gdy pojechali po niego milicjanci z RUSW, ten skrajny alkoholik, wykolejeniec i degenerat, zaatakował funkcjonariuszy widłami; musieli użyć miotacza gazowego.

— To wielka satysfakcja, jeżeli uda nam się pomóc człowiekowi — mówi kpt. Zenon Maj, kierownik sekcji skarg i wniosków WUSW w Lublinie.

Ale dodaje zaraz, że co 10—15 interesant, to — przepraszam za wyrażenie — maniak lub pieniacz, o niezbyt zrównoważonej konstrukcji psychicznej. Gros z nich na szczęście nie dociera do szefa WUSW, czujnie wychwycona w sekcji skarg i wniosków, ale niektórym się udaje. Na przykład członek koła łowieckiego, pozbawiony uprawnień przez zarząd (w zarządzie jest funkcjonariusz MO), usiłował wymusić ingerencję szefa WUSW w tę — wewnętrzną przecież — sprawę koła. Są tacy interesanci, którzy chcą za wszelką cenę stanąć przed obliczem szefa. Pokutuje bowiem mniemanie, że bez ingerencji szefa nawet sprawy drobne, leżące w kompetencji dzielnicowego, nie mają szans na załatwienie. Używają różnych podstępów, by przedstawić szefowi WUSW swoje najdziwniejsze żądania.

Oto znany od lat ze skrajnego pieniactwa 80-letni mężczyzna przedłożył szefowi problemy dotyczące rzekomego prześladowania go przez administrację osiedla i jego mieszkańców, dziesiątki kopii skarg i odpowiedzi z wszelkich instancji w kraju. Teczka jego „krzywd" jest opasła, pieczęcie, podpisy, znaki firmowe. Tyle że nie po jego myśli. Sądzi, że wszyscy się zmówili, by mu dokuczać, np. uniemożliwiają mu załatwienie spraw urzędowych, śledzą go permanentnie, utrącają we wszystkim. Ostatnio powołuje się na swoją przynależność do polskich formacji wojskowych na Zachodzie jako przyczynę prześladowań.

Sporą grupę interesantów stanowią funkcjonariusze MO. Przede wszystkim chodzi o ochronę prawną milicjanta. Po pierwsze — gdy jest stroną pokrzywdzoną w wyniku czynnej napaści przy realizacji zadań służbowych, w wyniku pomówień, znieważeń itp. Po drugie — gdy jest podejrzany (w wielu przypadkach niesłusznie) o naruszenie prawa karnego materialnego w służbie lub w związku ze służbą. Np. przypadek kpt. A. W., kierownika sekcji, rzetelnego, zasłużonego funkcjonariusza w okresie przedemerytalnym. Jechał swoim autem zgodnie z przepisami ruchu drogowego, był na swojej połowie jezdni, wyprzedzał go jadący z ogromną prędkością (mimo znaku ograniczenia) motocyklista, zaczepił o prawy błotnik auta kapitana A. W., doszło do wypadku, motocyklista poniósł śmierć. Niezależnie od kwalifikacji prokuratury i sądu, jest to dla tegoż oficera nieszczęśliwe wydarzenie, zgłasza się do szefa WUSW z prośbą o ochronę prawną. Szef WUSW radzi zachować spokój, nie denerwować się, bo takie sytuacje kończyły się nierzadko zawałami serca. Obiecuje pomoc.

— Mieszkam od 40 lat w mieszkaniu przy ul. Lipowej, wraz z mężem. Prywatny administrator raptem postanowił nas wyeksmitować, bo chce wprowadzić kogoś innego, no i uzyskał pozytywną dla siebie decyzję wydziału spraw lokalowych UM — prosi o pomoc kpt. Krystyna H., wieloletnia pracownica apteki WUSW. W tej sprawie szef WUSW wystąpił z prośbą o interwencję prezydenta Lublina. Prośba okazała się skuteczna, zapobiegła wyrzuceniu na bruk dwojga ludzi tuż przed emeryturą.

— Nasz resort na ogół nie jest lubiany i to ma swoje odbicie w reakcjach społeczeństwa, często zbyt pochopnych. Rolą przełożonych jest rozpatrzenie, czy podwładny działał z premedytacją, czy jego zachowanie oscylowało jedynie na pograniczu prawa. Używającemu środków przymusu milicjantowi przełożony musi dać ochronę prawną, stworzyć mu warunki do realizacji zadań służbowych; by inni funkcjonariusze wiedzieli, że mogą pełnić służbę spokojnie. Współodpowiedzialność przełożonego za decyzję funkcjonariusza jest istotna zwłaszcza w terenie, gdzie milicja nie ma pod ręką radcy prawnego... — mówi szef WUSW w Lublinie w przerwie, krótkiej zresztą, między wyjściem interesanta a wejściem następnego.

— Mój mąż nałogowo nadużywa alkoholu, proszę o interwencję, bo sama nie potrafię sobie z nim poradzić, a jego bezpośredni przełożeni w Puławach tolerują ten stan rzeczy... — zwróciła się żona jednego z dzielnicowych. W toku skrupulatnego wyjaśnienia skargi okazało się, że tenże funkcjonariusz — zdaniem m.in. zastępcy szefa RUSW — jest wzorem trzeźwości, a żonę poniosły emocje i chciała mu dopiec. Chodziła nawet po puławskich restauracjach i pokazywała kelnerom zdjęcie męża, żeby sobie przypomnieli, czy bywa u nich i jak często. W toku postępowania wyjaśniającego żona doszła do wniosku, że trochę przesadziła, wycofała skargę, przeprosiła męża. Na szczęście takich nieporozumień nie ma w województwie lubelskim za wiele. Zdarzają się jednak, a gdy w grę wchodzi rzeczywiste nadużywanie alkoholu, rozwody, alimenty, kłótnie małżeńskie — trzeba być Salomonem, by dojść do prawdy.

— Przychodzą do mnie na etapie rozkładu małżeństwa i proszą, by dać osobne mieszkania każdemu z małżonków. W obecnej sytuacji, nawet przy dobrych chęciach prawie nie ma takich możliwości — komentuje płk Aleksander Chochorowski.

Wchodzi młody milicjant z dystynkcjami kaprala. To funkcjonariusz RUSW w K.

— Melduję się z ponowną prośbą o przeniesienie służbowe do Posterunku MO w Annopolu, woj tarnobrzeskie — przedstawia cel swojej wizyty. Okazuje się, że służy w MO od 1987 roku i od początku chciał pełnić służbę w Annopolu, ale wtedy nie było tam etatu, a teraz jest. Dlaczego się upiera z tym przeniesieniem? Już raz szef WUSW załatwił jego prośbę odmownie, w związku z trudną sytuacją etatową RUSW w K., ale kapral jest uparty, bo chodzi o dobro jego rodziny. Nie chce nadal dojeżdżać 30 km autobusem PKS i jeszcze 4 km iść pieszo. Pracując w Annopolu miałby bliżej do domu, żona też pracuje, no i dwójka dzieci chciałaby tatusia częściej widywać. Mógłby też pomóc zamieszkałemu w woj. tarnobrzeskim ojcu obrabiać 9 ha...

— Umówmy się tak: sprawa ta zostanie przesłana do szefa RUSW z motywacją następującą: „Po ponownym rozpatrzeniu, ze względu na dobro rodziny i rychłą szansę na mieszkanie, wyrażam zgodę na przeniesienie". Ale jeśli Tarnobrzeg was nie zechce? — uśmiecha się szef WUSW. Kapral wychodzi zadowolony.

— Raportów o przeniesienia jest sporo, takie życie bywa, nie znosi bezruchu. Jeżeli są uzasadnione dobrem służby i rodziny, pomagamy. Oczywiście wolałbym, by sprawy przeniesień, mieszkań i przyspieszeń paszportowych załatwiali skutecznie bezpośredni przełożeni lub moi zastępcy, ale jeśli w grę wchodzi niezadowolenie i przekonanie o swojej krzywdzie, muszę wystąpić jako instancja odwoławcza... — wyjaśnia płk Aleksander Chochorowski.

Życie dostarcza na ogół spraw trudnych, wymagających ze strony szefa WUSW dużej wrażliwości i doświadczenia w wielu dziedzinach. Ale coraz częściej wyręczają go skutecznie i fachowo szefowie RUSW i komendanci posterunków MO.

— To ważne. Ostatnio prawie nie ma skarg na złe załatwianie w pierwszej instancji, co w poprzednich latach było nagminne, a już wręcz plagą były interwencje w sprawach paszportowych. W sytuacji coraz szerszej demokratyzacji życia i liberalizacji prawa karnego, trudno jest skarg uniknąć. Obywatele upominają się o swoje prawa, piętnują przekroczenie uprawnień lub niedopełnienie obowiązków przez funkcjonariuszy. Ale żal, że pamiętając o prawach, jakby zapominają o swoich obowiązkach. Natomiast pocieszające jest to, że mimo wzrostu liczby skarg w skali całego województwa, maleje (niewiele, ale jednak) ich potwierdzalność, choć zarzucanie milicjantom obrazy prawa karnego materialnego to nie błahostka przecież, bo każdorazowo powoduje udział prokuratora. W roku 1988 tylko w 4 postępowaniach karnych potwierdzono zasadność skargi i winę funkcjonariusza MO lub SB; w grę wchodziły wypadki drogowe, spowodowane przez nietrzeźwych kierowców. To są w masie skarg pojedyncze przypadki. „Na dole" załatwia się obywateli coraz kompetentniej i rzetelniej. To cieszy... — podsumowuje płk Aleksander Chochorowski.

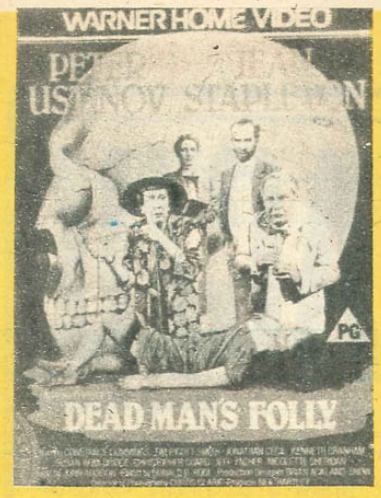

VIDEO TOP MAGAZYNU KRYMINALNEGO „997"

Beetlejuice (Sok żuka) — komedia-horror,
reż. — Tim Burton, wyk. Alec Baldwin i Genna Davis.
Młode małżeństwo ginie w wypadku samochodowym. Od tego momentu przychodzi im straszyć we własnym domu. On i ona przeżywają wiele zabawnych przygód starając się dostosować do pozagrobowej egzystencji. Niestety, przeszkadza im w tym duch chuligana, tytułowy Beetlejuice.

Sweet word — revenge (Słodkie słowo — zemsta) — sensacyjny,
reż. Jerry London, wyk. Madolyn Smith i Tom Berenger.
Udany film o parze włamywaczy, którzy dochodząc minionych krzywd, dokonują spektakularnych włamań i kradzieży.

Outland — (Odległy ląd) — science-fiction,
reż. Peter Hymas, wyk. Sean Connery i Peter Boyle.
Kolonia na trzecim księżycu Jowisza. Strzegący porządku szeryf demaskuje handlarzy narkotyków. Opuszczony przez wszystkich samotnie stawia czoła nasłanym mordercom. Film, choć podobny w schemacie do klasycznego westernu („W samo południe") do końca trzyma widza w napięciu.

Spacehunter (Kosmiczne łowy) — fantastyczno-przygodowy,
reż. Lamond Johnson, wyk. Peter Strauss, Molly Ringwald i Ernie Hudson.
Pilot statku kosmicznego wyrusza na ratunek trzech kobiet, porwanych przez ludzi-mutantów. Szybkie tempo akcji i doskonałe pomysły scenograficzne. Jednym słowem — dobra zabawa.

Batman (Człowiek-nietoperz) — sensacyjno-przygodowy,
reż. Tim Burton, wyk. Jack Nicholson, Michael Keaton.
Człowiek-nietoperz ponownie z komiksu wleciał na telewizyjny ekran. Zrobił to jednak w tak dobrym stylu, że za oceanem od razu stał się superszlagierem.

Nuts (Wariatka) — kryminalno-obyczajowy,
reż. Martin Ritt, wyk. Barbara Streisand.
Call-girl zostaje oskarżona o zamordowanie klienta. Doskonałe studium psychologiczne osaczonej kobiety. Film zadowoli najwybredniejsze gusty.

Sphinx (Sfinks) — sensacyjno-przygodowy,
reż. Franklin Schaffer, wyk. Leesley A. Down i Frank Langella.
Młoda kobieta, egiptolog, odkrywa nienaruszony grobowiec faraona Setiego I. Nim jednak do niego wejdzie, przeżyje wiele przygód, unikając zamachów na swoje życie. Mimo że akcja miejscami trąci naiwnością, film jest dobrą rozrywką.

Heros of USA (Bohaterowie USA) — sensacyjny,
reż. Terry J. Leonard, wyk. Joanna Pacuła, Fred Dryer, Brian Keith.
W jednej z bliskowschodnich stolic (Jemal) arabscy terroryści porywają pułkownika piechoty morskiej. Do akcji wkraczają jego wychowankowie, którzy uwalniają przełożonego dzięki pomocy izraelskiego wywiadu (agentkę Mossadu gra Joanna Pacuła). Dużo fajerwerków, pogoni i strzelaniny. Amerykańscy chłopcy są tak dobrzy w walce, że aż dziw, że Ameryka przegrała w Wietnamie.

Dead man's folly (Altanka nieboszczyka) — kryminalny,
reż. Clive Donner, wyk. Peter Ustinov, Jean Stapelton.
Film nakręcono według powieści Agaty Christie pod tym samym tytułem. Już samo nazwisko autorki jest gwarancją, że będziemy uczestniczyli w rozwiązaniu pasjonującej zagadki kryminalnej.

Filmy udostępniono dzięki uprzejmości firmy „Scavid", wypożyczalnia przy ul. Świerczewskiego 84.

KNOTY NA RYNKU WIDEO

1. **After hours (Po godzinach) — horror**
2. **The gauntlet (Wyzwanie) — sensacyjny**
3. **Night of generals (Noc generałów) — wojenny**
4. **Spider-man. The dragon's challenge (Człowiek-pająk. Smok rzuca wyzwanie) — przygodowy**
5. **Executioner from Shaolin (Mściciele z klasztoru Szaolin) — kung-fu**
6. **Police Academy 5 (Akademia policyjna 5) — komedia**
7. **Złotowłosa i złota świątynia — przygodowy**
8. **Disorderlies (Trzech wesołych pielęgniarzy) — komedia**
9. **Band of the hand (Banda pięści) — sensacyjny**
10. **Sky bandits (Bandyci przestworzy) — wojenny**

CERBER PEWEXU

Humoreskę tę dedykujemy firmie, która łupie niemiłosiernie klientów, ale sama też jest kantowana, a więc „Pewexowi".

Czas akcji: ciemna piątkowa noc, 26 stycznia br., godz. 0.40 rano. Miejsce akcji: Warszawa, ulica Kredytowa, a konkretnie sklep „Pewexu" numer 2.

Por. Wojciech Łabędź z Batalionu Patrolowo-Interwencyjnego SUSW, z którym wspólnie realizowaliśmy reportaż o nocnym życiu Warszawy, zapytał nas, czy chcielibyśmy zobaczyć, jak strzeżone są pewexy. A jakże, kronikarze „Magazynu Kryminalnego 997" są zawsze w gotowości. Zastanowił nas jednak trochę ironiczny uśmiech porucznika.

Jedziemy na ulicę Kredytową. Tuż przy wejściu do pewexu stoi skorupa samochodu, który kiedyś nazywał się warszawą. Wrak z tyłu ma doczepiony wózek do holowania pojazdów. Dumny napis na bocznych drzwiach głosi „Pomoc Drogowa". W środku jakiś jegomość. Czyżby taki gorliwy i całą noc czeka na zgłoszenia z wypadków? Porucznik wyjaśnia nam, że to jeden z cerberów zatrudnionych przez firmę „Pewex" do ochrony mienia. Firma ta otwarta jest dla klienta i towary wystawia tak, że złodziej ma je w zasięgu ręki. Wystarczy wybić szybę i mimo że dziko wyją alarmy, capnąć z wystawy sukienkę lub kożuch i szukaj wiatru w polu. Szklarze i stolarze mieli i mają w pewexach roboty w bród. A więc wynajęto prywatnych, groźnych goryli, takich jak ten z pomocy drogowej.

Wcale się nie kryjąc podjeżdżamy radiowozem pod pewex. Intryguje nas kabel przeciągnięty od sklepu do warszawy. Czyżby dodatkowy system alarmowy lub urządzenie do detonacji materiałów odstraszających? Skąd, to tylko przedłużacz do urządzenia grzewczego. „Farelka" szumi, w samochodzie ciepło i kojąco, a ochroniarz chrapie tak, że blacharka żałośnie jęczy.

Obchodzimy „strzeżony obiekt", szarpiemy drzwi pewexu i... nic. Fotoreporter wali zdjęcia z lampą błyskową tak, że niewidomego by oślepił, a ochroniarz tylko chrapie. Żal nam chłopa, który za marne kilkadziesiąt tysięcy za noc musi się męczyć w samochodzie, więc staramy się wyrwać go z objęć Morfeusza delikatnym pukaniem w szybę. Nic z tego. Dopiero walenie pięścią, niczym młotem kowalskim w dach, podrywa ochroniarza. Życzymy mu dobrej nocy i odjeżdżamy.

Spokojnych snów życzymy też dyrektorowi przedsiębiorstwa „Pewex". Mając takich ochroniarzy na etacie na pewno będzie mógł obniżyć marżę, z zyskiem dla firmy i klientów.

ZYGMUNT PODHORODECKI
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

MÓJ PIES

PRZYZWYCZAJANIE PSA DO NAZWY

Tę naukę możemy prowadzić także ze szczenięciem. Wymawianą nazwę pies powinien kojarzyć z przyjemnością. Wyszukujemy więc jak najczęściej takie okazje:

— wymieniając nazwę psa podajemy mu smakołyk lub głaszczemy,

— przywołujemy psa, wymawiając jego imię, do karmienia lub wychodząc na spacer,

— aby upewnić się, że pies tę nazwę kojarzy, wymawiamy różne nazwy np. Azor, Reks, Szarik i za reakcję na tę właściwą nagradzamy,

— jeżeli jest taka potrzeba, aby uczyć psa nieufności do osób obcych, należy: kiedy ktoś obcy wymawia imię psa, a pies okazuje zainteresowanie, skarcić psa „fe" i wołać psa dając mu smakołyk i chwaląc głosem lub głaskaniem.

Nawet dorosły pies szybko może w ten sposób przyzwyczaić się do nowej nazwy, ale unikajmy, w miarę możliwości, tych zmian. Jako ciekawostkę podam, że w Zakładzie Tresury Psów Służbowych MO w Sułkowicach wszystkie psy, które kończą kurs tresury w danym roku, mają nazwy zaczynające się na tę samą literę alfabetu. I nie mogą się powtórzyć! Przed paru laty zakończono alfabetyczne nazwy literą „Z" i ponownie rozpoczęto od „A". W bieżącym roku zaczynamy literą „D".

Jan Walicki

JAK WYCHOWYWAĆ KIBICÓW?

— Mimo podejmowania różnorakich działań organizacyjno-propagandowych na imprezach sportowych wciąż dochodzi do naruszania porządku publicznego. Niepokojąca jest także wzrastająca liczba ofiar. Relacje z zawodów sportowych coraz częściej przypominają meldunki z wojennego frontu. Dlaczego tak się dzieje? — z tym pytaniem zwróciłem się do naczelnika w Departamencie Prewencji i Porządku Publicznego KG MO płk. dr. Jerzego Wojciecha Wójcika.

— Ekscesy powodowane przez kibiców nasiliły się. Wprawdzie tragedie na stadionach zdarzały się zawsze, także w starożytności, to jednak obecne ich tło jest niepokojące. Wprawdzie agresji tłumu, zachowaniu kibiców poświęcono wiele miejsca w prasie, pismach i opracowaniach fachowych, to jednak problem ten pozostaje wciąż aktualny. Należy zauważyć, iż po tragedii na stadionie Heysel w Brukseli także kryminolodzy włączyli się do dyskusji, a L. Walgraven i Ch. van Limbergen opracowali liczący 400 stron raport dotyczący przyczyn, przebiegu i skutków owego zdarzenia.

— Czyżby więc towarzyszenie swoim pupilom, dopingowanie do lepszej gry nie zawsze wynikało z chęci doznania sportowych wrażeń, emocji...

— Wszystko na to wskazuje. Członek klubu kibica przy angielskim klubie Chelsea, a jednocześnie członek faszystowskiego Frontu Narodowego mającego swoich sympatyków również w Belgii, Włoszech, Holandii, Francji i RFN oświadczył jednoznacznie, że ich zamiarem jest opanowanie stadionów Europy. Będą zabijać — stwierdził — Murzynów w Amsterdamie, Żydów w Pradze, katolików w Rzymie i Turków w Monachium.

Zatem nie tylko emocje fanów sportowych, lecz także ideologia sprawiają, że na stadionach Zachodniej Europy pokazują się flagi ze swastyką, a kibice pozdrawiają się wyciągniętą ręką. Natomiast w czasie meczów wznoszone są okrzyki: „do Auschwitz", „Hitler was zagazuje", „Juden raus" lub „precz z Turkami".

Ponadto wśród wielu sprawców pobić sympatyków drużyn gości, jak i tych, którzy demolowali mienie policja ujawniła skinheadsów. Odebrano im pałki, łańcuchy, noże sprężynowe, sztylety, petardy oraz tysiące szklanych i metalowych kulek do wystrzeliwania. Niektóre akcje kibiców mają wyraźny odwetowy charakter, czego przykładem jest kilkugodzinna walka uliczna pomiędzy Anglikami i Niemcami 15 czerwca w Düsseldorfie. Zatrzymani skinheadsi uznali, że była to „zemsta za Heysel", a ich koszulki nosiły napisy „Invasion of Germany 1988".

— Co zatem o irracjonalnym zachowaniu rzekomych kibiców mówi nauka?

— Pierwsze poważne dzieło na temat zachowań i reakcji ludzi będących w dużych zbiorowościach pt. „Psychologia tłumu" wydane zostało w 1895 r. przez Gustawa Le Bona. Autor uznał wówczas, że jednostka w tłumie zachowuje się inaczej aniżeli poza nim. W grę wchodzą różne mechanizmy. Wielu autorów uważa, że w tłumie następuje wyzwalanie hamowanych przez wiele lat reakcji agresywnych oraz ujawnia się lekceważenie autorytetów, obowiązujących norm prawnych i obyczajowych.

Badania w tym zakresie pozwoliły lepiej poznać prawa rządzące masą ludzką. I tak w tłumie można wyróżnić: obserwatorów przypadkowych (gapiów), osoby o dużej dozie agresywności, które stają się przywódcami tłumu, osoby przejawiające wysoką emocjonalność (są to prowokatorzy i podżegacze), osoby przejawiające i przejmujące inicjatywę zachowań i działań, (spontaniczni przywódcy).

— Obserwując zachowanie polskich, jak i angielskich kibiców np. w czasie chorzowskiego meczu, łatwo można było dojść do wniosku, iż atmosfera widowni była tak specyficzna, że np. niektóre wydarzenia niwelowały uczucia i myśli znajdujących się jednostek...

— Zachowania ludzi w takich sytuacjach są zwielokrotnione, powiększone, a ich przebieg przyspieszony. Specjaliści określili, że są to tzw. mechanizmy wzmocnienia grupowego. Proces ten polega na pobudzającym oddziaływaniu na siebie poszczególnych uczestników tłumu.

Intensywność i przebieg tych procesów powoduje wyróżnienie się pewnych specyficznych cech tłumu, takich jak np.: emocjonalność, symbolizacja, irracjonalność, dążenie do niszczenia przeszkód i wszystkiego co symbolizuje przeciwnika. Wszystko to wzmacnia w jednostce poczucie anonimowości, niemożności identyfikacji, a tym samym pociągnięcia do odpowiedzialności.

— Wyodrębnił pan podkulturę kibiców sportowych. Do tej pory nikt jeszcze nie posługiwał się tym pojęciem w odniesieniu do osób zasiadających na trybunach obiektów sportowych...

— Rozpoznanie tego zjawiska społecznego wskazuje na to, że mamy do czynienia przede wszystkim z szaliczkowcami, skinheadami, pseudofaszystami, chuliganami i wandalami. Każda z tych kategorii osób stanowi podkulturę o cechach dewiacyjnych, w całej swej masie stanowiąc swoistą mieszankę wybuchową.

Zachowanie kibiców na naszych stadionach tylko z pozoru wydaje się spontaniczne. Przeczą temu wyjazdy na mecze, w których udział biorą te same osoby, zajmujące te same miejsca na trybunach, charakterystyczne dla każdego obiektu nazwy np. „żyleta" (na stadionie warszawskiej Legii), „pod zegarem" (Śląsk Wrocław), „młyn" (Zagłębie Lubin). Na nich zasiadają nieformalni przywódcy dopingu własnej drużyny oraz pojedynków słownych z kibicami zespołu przyjezdnego.

Można wyróżnić następujące sposoby działania podkultury naszych kibiców: zatrzymanie na trasie pociągu z nadjeżdżającymi kibicami, atak szturmowej grupy, opanowanie „wrogiego" terenu przed meczem, niszczenie środków komunikacji miejskiej. W postępującej eskalacji działań uwidacznia się łączenie szaliczkowców ze skinami-oj, skinami-faszystami, pseudofaszystami, itp.

Zatem obecność oddziałów milicyjnych (policyjnych), choć dla wielu kontrowersyjna, przyczynia się do uśmierzania nieodpowiedzialnych zapędów pseudokibiców.

— Dziękuję za rozmowę.

JERZY KIRZYŃSKI
zdj. K. Mokrzyszewski

Radca prawny odpowiada

ZAMIAST NOTARIUSZA

W miejscowościach, w których nie ma państwowego biura notarialnego, terenowe organy administracji państwowej stopnia podstawowego są upoważnione do poświadczania własnoręczności podpisu:

1) na pismach upoważniających do odbioru z placówek pocztowych przesyłek i sum pieniężnych oraz odbioru dokumentów z urzędów i instytucji,
2) na oświadczeniach stwierdzających stan rodzinny i majątkowy składającego oświadczenie,
3) na zaproszeniach do Polski obywateli radzieckich przez obywateli polskich.

Przy dokonywaniu poświadczeń organy te stosują odpowiednio przepisy prawa o notariacie w zakresie ustalonym w rozporządzeniu RM z 28 grudnia 1989 r. w sprawie sporządzania niektórych poświadczeń przez organy administracji państwowej (Dz.U. nr 75, poz. 447).

Grażyna Grzązek

UWAGA! NASZ KONKURS „KIBIC DOSKONAŁY"

Zwycięzcą konkursu ogłoszonego w numerze 3 „MK 997" został Adam Meksuła z Bolesławic. Gratulujemy.

O oto kolejne pytania:

1. **Wymień 5 najpoważniejszych zdarzeń na stadionach Europy.**
2. **Podaj nazwę klubu, którego kibice zajęli pierwsze miejsce w ubiegłorocznym konkursie „PS" „Lidze stadionów".**
3. **Wymień sytuacje, w jakich sędzia może odwołać mecz.**

Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania (w ciągu 14 dni) pod adresem redakcji (z dopiskiem „Kibic doskonały") rozlosujemy nagrodę ufundowaną przez GPS MSW.

magazyn 997 kryminalny

W służbie NARODU

PISMO RESORTU SPRAW WEWNĘTRZNYCH – UKAZUJE SIĘ OD 14 IV 1945 ROKU Wydawca MSW.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY: **ELŻBIETA CIERLICA** (zastępca red. naczelnego, 45-61-72 lub 20-16-39), **Ryszard Hrycyk** (red. graficzny), **JERZY KIRZYŃSKI** (kierownik dz. zawodowego, 45-61-15), **ROMUALD ŁABANOW** (redaktor naczelny, 20-54-18 lub z MSW 149-70), **Henryk Makarski** (oddział red. w Lublinie, 201-01 w. 4605), **Tadeusz Noszczyński, Edward Nowak, Adam K. Podgórski** (oddział red. w Katowicach, 510-221 w. 1965), **Zygmunt Podhorodecki, Elżbieta Sitek, Paweł Szlachetko, Jolanta Szutkowska, Jolanta Ślifierz, MARCEL TABOR** (sekretarz redakcji, 45-61-32, 20-16-39), **Cezary Woliński, Krzysztof Zaczkiewicz** (red. techniczny)

FOTOREPORTER: **Krzysztof Mokrzyszewski**

ADIUSTATOR: **Agata Guzdek-Wrotna**

ŁĄCZNOŚĆ Z CZYTELNIKAMI: **Maria Pawlak, Teresa Tomaszewska, 45-68-66**

ADRES REDAKCJI: 00-896 Warszawa, ul. Ogrodowa 28/30. Telefon sekretariatu 45-61-26, kasa 45-60-86. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych oraz zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów nadesłanych artykułów.

PRENUMERATA: Prenumerata wyłącznie za pośrednictwem CKW dla jednostek resortu spraw wewnętrznych, WP i instytucji.

Zamówienia i reklamacje w sprawie kolportażu kierować do RSW „Prasa–Książka–Ruch" Centralny Kolportaż Wojskowy 00-950 Warszawa, ul. Wronia 29/31, tel. 20-12-61 w. 338. Wpłaty należy dokonywać na konto CKW w PBK XIII O/Warszawa nr 370044-001632.

DRUK: Wojskowe Zakłady Graficzne, 00-950 Warszawa, ul. Grzybowska 77

numer zamknięto 7 III 1990
Zam. 2696
F-81
REDAKTOR DYŻURNY
Elżbieta Sitek

panorama

997

rys. W. Fuglewicz

MYŚLI

Nawet jeśli inni zajmą miejsce w pierwszej linii, a ciebie los rzuci między żołnierzy trzeciego szeregu, walcz także stamtąd głosem, zachętą, przykładem, odwagą.

Seneka

Miłość nie spełniona — to specyficzny rodzaj nienawiści. Miejmy się na baczności przed jej ofiarą — myślącym samotnikiem.

H. Sakutaró

Im dłużej żyję, tym mocniej czuję, że wszystko, co było dość dobre dla naszych ojców, nie jest dość dobre dla nas.

O. Wilde

Moc, która w człowieku ma swoją siedzibę, jest nową siłą w naturze i nikt poza nim nie wie, czym jest to, czego potrafi on dokonać, ani on sam nic nie wie o tym, aż stanie do pracy.

R. Emerson

Gdybyśmy o każdym wiedzieli wszystko, któż na tej ziemi nie byłby godny współczucia?

Sainte — Beuve

ZAPAMIĘTAJ:

To, co niewiele kosztuje, jeszcze mniej cenisz.

M. de Cervantes

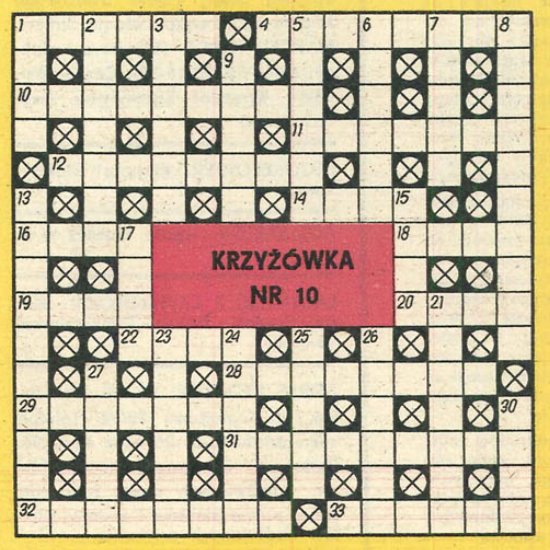

POZIOMO: 1) pomocnik pisarza sądowego w dawnej Polsce, 4) wróży z gwiazd, 10) najwyższy stopień wojskowy, 11) składający handlową propozycję, 12) okres od Trzech Króli do Środy Popielcowej, 14) uraza, niechęć, 16) przy butach taternika, 18) obszar wodny przed wejściem do portu morskiego, 19) dramat Ibsena, 20) nieobecność, niedostatek, 22) kraniec, 26) silny, długotrwały ogień artyleryjski, 29) okólnik, 31) zbiór przepisów prawnych, 32) balon lub sterowiec, 33) ósmy dzień od jakiejś daty.

PIONOWO: 1) Rzym dla Włochów, 2) wielki targ, 3) obszar leżący na wys. od 0 do 300 m n.p.m. 5) instytucja oświatowo-wychowawcza, 6) odwrotna strona medalu, 7) włoska aktorka filmowa („Matka i córka"), 8) sąsiadka Meksykanki, 9) wyraz, 13) zawarcie umowy handlowej, 15) szybki koń wierzchowy, 17) z Bagdadem, 21) zasila Wisłę, 23) brak kart w jakimś kolorze, 24) żalenie się, 25) jezioro, drugie pod względem wielkości w Europie, 26) William Szekspir, 27) wyróżnienie honorowe w postaci medalu, krzyża lub gwiazdy, 30) związek, liga.

Rozwiązania prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 10". Do rozlosowania bon oszczędnościowy wartości

5000 ZŁOTYCH

Rozwiązanie krzyżówki nr 2

POZIOMO: estetą, eksponat, emerytura, western, pikulina, trap, Leyo, urok, molo, zwój, spis, zielonka, turysta, tendencja, Zakopane, zaleta. PIONOWO: elew, trening, trybun, krawat, presja, najem, transakcja, kulig, elementarz, pucz, opos, wakacje, postęp, szatyn, wełna, moneta, gaża.

Bon oszczędnościowy wartości 5000 złotych wylosował **Eugeniusz Pawlik — 26-300 Opoczno, ul. Kopernika 117/29.**

DO POCZYTANIA

Karol Wielki (742—814) zabronił pić piwo zakonnikom. Król Anglii Edgar (X w.) godził się, by we wsi była tylko jedna piwiarnia. Nakazał też cechowanie naczyń, w których sprzedawano piwo, by umożliwić kontrolę nad ilością spożywanego trunku.

*

Około roku 450 p.n.e. w Grecji pojawiła się nowa moda. Były to czasy, gdy wojownicy ochoczo zajadali lwie serca, aby mieć odwagę, czy wątrobę jelenia, aby biec chyżo. Otóż znaleźli się ludzie, którzy głosili, iż sportowcy muszą jeść jakieś muskularne zwierzę, aby rozwijać swoje mięśnie. Na przykład woły. Tak zaczęła się moda na befsztyki, która trwa dotąd.

*

Prof. Robert Sattlemayer z uniwersytetu stanu Missouri w Kansas City znalazł niedawno rękopis nieznanego opowiadania Marka Twaina. Zdaniem badacza rękopis został ukryty przez wykonawcę testamentu Twaina, który nie chciał, by pisarz, znany z utworów pełnych radości i humoru, okazał się pesymistą. W znalezionym opowiadaniu Twain kreślił właśnie pesymistyczny obraz ludzkich charakterów.

*

Matka trojga niepełnoletnich dzieci — jak obliczyli amerykańscy naukowcy — poświęca dziennie 108 minut na sprzątanie mieszkania, 102 — na przygotowanie posiłków, 72 — na szycie i cerowanie odzieży i tyle samo na pranie i prasowanie.

*

Liczący 1152 strony regulamin Uniwersytetu w Cambridge zostanie wkrótce zaktualizowany — tak, aby użyte w nim rzeczowniki, określające wykładowcę lub studenta nie miały wyłącznie rodzaju męskiego. Obecny regulamin został przetłumaczony z łaciny w XIX w.

FRASZKI

ŻYCIE

Starzy stawiają na młodych,
młodzi zwalają na starych —
nielekkie jest życie,
żalą się ciężary.

PRZEMIANY

Życie się zmienia —
nawet we wspomnieniach.

UŚMIECHNIJ SIĘ...

Uśmiechnij się, bo — być może
jutro będzie jeszcze gorzej.

Jerzy Leszczyński

ANEGDOTA

Na jednym ze średniowiecznych uniwersytetów aeropag mężów roztrząsał kwestię, czy gołąb Noego, niosący w dziobie gałązkę oliwną był samcem czy samicą. Kwestię rozstrzygnął pewien uczony doktor, który miał gadatliwą żonę:

— Był samcem — rzekł. — Samica nie byłaby w stanie tak długo trzymać zamkniętego dzioba.

Z NASZEGO KLASERA

O Międzynarodowym Dniu Kobiet i walce kobiet o pokój przypominają znaczki pocztowe Japonii i Wietnamu wydane w różnych latach.